

Chcesz założyć własne przedsiębiorstwo? Przeczytaj ten tekst!

Przybyło marzycieli...?

Rozmowa z LECHEM MALAGIEM — wicedyrektorem Izby Skarbowej w Łodzi.

— Czy rewolucyjne wręcz zmiany w działalności gospodarczej obowiązujące od kilku tygodni przyniosły także w skarbowości?

— Faktycznie. „Ustawa o działalności gospodarczej” zwana już dość powszechnie gospodarczą konstytucją — wyprzedza epokę. Wyprzedza tak dalece że o niektórych przepisach, wciąż obowiązujących się zapomina, innych zaś nie zdolano poddać niezbędnemu retuzom.

— Jakle to przepisy?

— Ano choćby ustawa o opłatach skarbowych. Skarb państwa traci miliardy złotych...

— Jasne, najprościej podnieść opłaty za jednym zamachem o jakieś drobne 300—400 procent

— Bez uszczypliwości niech pan posłucha. Moim zdaniem fakt, iż nie ma zniewielżonej ustawy o opłatach zakrawa na przestępstwo gospodarcze. Tak dobrze nie ma nigdzie na świecie. Interesanci śmieją się z urzędników, bo raptem okazuje się, że my „dotujemy” papier, atrament i światło w urzędzie!

— Bardzo ładne, demagogiczne stwierdzenie...

— Ależ to prawda?! Niech mi pan pokaże kraj, gdzie można uruchomić interes za równowartość naczki zapałek czyli za 50 złotych! Opiata za służ wciąg wynosi 500 złotych. Tyle że każdy domaga się światła, fisharmonii, gobelinów. Zgoda, ale musisz za to zapłacić!!!

6



Collage: Grzegorz Galasiński

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 6 (1610)

5 LUTEGO 1989 ROKU

CENA 80 ŻŁ

- Jak córka Stalina uciekła na Zachód — str. 10
- Manifest zielonej alternatywy — str. 5
- Łódź biednieje materialnie i intelektualnie — str. 6
- Azyl polityczny w Kanadzie — str. 16

Nawet gdy urząd nie ma racji, to też ma rację!

Skóra na niedźwiedziu

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Tadeusza A. i Mirosława P. nie łączy. Nigdy nie widzieli się na oczy. A jednak gdyby mogli się kiedyś spotkać, nie mało mieliby sobie do powiedzenia. Ich sprawy tylko na pozór bowiem nie mają nic wspólnego. W gruncie rzeczy są do siebie podobne, a jedna jest jakby uzupełnieniem drugiej.

1.

W marcu 1930 roku Mirosław P. kupił z Państwowego Funduszu Ziemi działkę budowlaną o powierzchni 2000 metrów kwadratowych, położoną w Tusznynie przy ulicy Brzezińskiej. Zapłacił za nią gotówką 25 000 złotych. Resztę należności rozłożył na raty. Sporządzony w rok później akt notarialny zobowiązywał Mirosława P. do zabudowania działki w ciągu najbliższych czterech lat, toteż jej świeżo upieczony właściciel nabył od razu metalową siatkę i słupki, aby na ogrodzonym już terenie zgromadzić powoli zdobywane trudem materiały budowlane, a także — przez pewien czas — uprawiać tam pod folią warzywa, na których zamierzając po części zrobić na swój nowy dom. Zanim jednak zabrał się do kopania dołków pod słupki, geodeta z Urzędu Miasta i Gminy w Tusznynie dokładnie wytyczył granice, wbijając na nich drewniane kołki. Było to konieczne, gdyż wydzielona z nieużytków i łaknowa działka zaznaczona została uprzednio jedynie na planie i zachodziła obawa, że Mirosław P. mógłby przez pomylkę ustawić plot nie tam, gdzie powinien. Po wzięciu odcydy pomyłka taka nie wchodziła w rachubę, czego pewni byli wszyscy. Wszyscy oprócz Władysława K., który po kilku dniach w obecności wezwanych przez siebie funkcjonariuszy milicji oraz pracownicy UMIG zarządził Mirosławowi P., iż ten zajął kawałek jego ziemi.

Mirosław P. szczerze zaskoczony był tym oskarżeniem, jako że ściśle trzymał się pomiarów geodety. Zdumiało go też trochę polecenie przetrwa-

nia prac przy ogrodzeniu aż do wyjaśnienia sprawy, co miało nastąpić — zapewniano w urzędzie — najpóźniej w ciągu tygodnia. Mimo to podporządkował się i postanowił zacząć, będąc pewnym, że racja jest po jego stronie. I rzeczywiście, przyznano mu ją w UMIG, tyle że Władysław K. ani przez moment nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Co więcej: powyrwał osadzone już w ziemi słupki i wyrzucił poza wyznaczoną przez samego siebie granicę.

Na wieść o tym Mirosław P. znów pojawił się w UMIG w Tusznynie i tym razem to on wniósł skargę na sąsiada. Oczekiwał stanowczej interwencji urzędu, pomocy w imieniu prawa. Upewniono go wszak, że nie naruszył niczyjej własności. Ale urząd nie chciał interweniować, poradził tylko, żeby zwrócić się do milicji, bo ta może zastosować jakies sankcje. Dziwnym trafem stróż — porządku i praworządności też jednak nie kwapił się do działania, radząc z kolei, że najlepiej oddać sprawę do sądu. Pomogli nawet sformułować pozew. Ale — nic więcej.

Mirosław P. ponownie zgłosił się — wciąż pewny swego, choć nieco już zdegustowany postawą urzędników państwowych i milicji, a nadto — zdenerwowany perspektywą dalszego, nie wiadomo jak długiego oczekiwania na rozstrzygnięcie sporu, co bardzo było mu nie na rękę. Czas to pieniądź — mówił. A pieniądze nigdy nie miał za dużo. Czasu zresztą też, skoro zobowiązał się rozpocząć budowę domu w ściśle określonym terminie.

Dwa lata zajęło Sądowi Rejonowemu w Piotrkowie Trybunalskim rozpatrzenie sprawy Mirosława P. Dwa lata, w ciągu których niszczały i poginęły elementy ogrodzenia trzymane na miejscu jako dowód, a ceny materiałów tak poszły w górę, że realna początkowa wizja rozpoczęcia budowy znalazła się na pograniczu stery nieziszczalnych marzeń. Co dziwniejsze dla Mirosława P., sąd oddał w końcu jego pozew, jakkolwiek okazało się, że Władysław K. nie tylko samowolnie powyrwał słupki, ale

też samowolnie wytyczył granice swojej działki, którą samowolnie objął w posiadanie po przekazaniu na Skarb Państwa gospodarstwa rolnego. Nie przedstawił bowiem żadnego dokumentu, z którego wynikałoby jasno, że należy mu się właśnie ten, a nie inny kawałek ziemi.

Straciwszy dwa lata i ponad 10 000 złotych samej tylko opłaty sądowej, Mirosław P. odwołał się do Sądu Wojewódzkiego, który — choć rewizja wniesiona została po ustawowym terminie — przyjął ją, a że dopatrywał się w orzeczeniu sądu niższej instancji poważnych uchybień, skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia. Mirosławowi P. wróciło to wprawdzie wiarę w sprawiedliwość, lecz wypłoszyło z kieszeni następne dziesięć tysięcy opłaty plus jeszcze kilka na takśówki, którymi biegli sędziwi przyjeżdżali z Piotrkowa do Tusznyna.

I znów mijaly długie miesiące, a Mirosław P. pokornie czekał. Coraz bardziej już tylko dla zasady, dla satysfakcji. Ale i tej nie było dane zapaść, gdyż Władysław K. niespodziewanie zmarł, zaś jego dzieci odstąpiły od jakiegokolwiek roszczeń. W tej sytuacji sąd umorzył sprawę, nikomu nie przyznając racji, pieniądze nie zwrócił, a Mirosław P. znalazł się dokładnie w tym samym miejscu, co przed czterema laty, tyle że o budowie domu teraz nie śnił już nawet marzyć.

Przez cały czas trwania sporu UMIG w Tusznynie przesyłał mu nakazy płatnicze podatkowe, przeciwko czemu w pewnej chwili zaprotestował. Uznał, że nie powinien płacić, skoro nie może użytkować działki zgodnie z jej przeznaczeniem i własną wolą, nie ze swojej przeciwie winy. A wszystkim winni są — dowodził — urzędnicy, którzy nie wyznaczyli precyzyjnie i nie wskazywali Władysławowi K. należnej mu działki, a potem zgrebnie umyli ręce. Oczywiście urząd protestu nie uwzględnił, bo — jak oświadczone — spór przed sądem nie go nie obchodzi!



Collage: Grzegorz Galasiński

X 1/79 jest samochodem małolitrażowym. „Beskid” jeździ po Polsce i trwają prace nad jego modernizacją.

Bielska FSM wyszła na prostą

MIROSLAW KULIS

To się nazywa fart. Przemysłowi motoryzacyjnemu, a właściwie głównie bielskiej Fabryce Samochodów Małolitrażowych udało się coś, czego w Polsce od lat siedemdziesiątych nie było. Decyzje ministra przemysłu Mieczysława Wilczka o wstrzymaniu osobnej licencji dla warszawskiej FSO i propozycja produkcji jednego samochodu stworzyły przed bielszczanami szansę gwałtownego rozwoju. Żadna branża, żaden zakład nie miał przed sobą ostatnio tak wspaniałych perspektyw.

Wokół całej sprawy powstał duży rozgłos, ale niektórzy omijają istotę rzeczy.

Nie po raz pierwszy dają się w ten sposób odczuć wpływy żerańskiego lobby samochodowego, jednego z bardziej znaczących w tym kraju.

„W prasie warszawskiej, poza „Przeglądem Tygodniowym”, nie pojawiły się analityczne czy krytyczne artykuły o FSO, bo część dziennikarzy była zainteresowana podtrzymaniem dobrych stosunków z FSO, profitujących o utrzymaniem „testowego” Poloneza, a druga część liczyła, że jak nie w tym roku, to w następnym znajdzie się na liście uprzywilejowanych — oskarża Hanka Jarosz-Jalowiecka na łamach tygodnika „Tak i Nie”. Jest ona z pewnością dobrze poinformowana o mechanizmach gry fabrycznych lobby, gdyż jej katowicka redakcja znajduje się o godzinie jazdy od siedziby dyrekcji bielskiej FSM. Artykuł utrzymany w entuzjastycznym tonie dla koncepcji ministra Mieczysława Wilczka wręcz

zarzuca chachmęstwo ludziom odpowiedzialnym za kupno licencji nowego samochodu dla Żerania.

„Piszę dla „Żerania”, a rozumiem pod tym byle kierownictwo FSO” — stwierdza bez ogródek autorka.

Już choćby po tych reakcjach prasowych widać wyraźnie, że gra toczyła się o bardzo dużą stawkę.

— Decyzja ministra Mieczysława Wilczka była zaskoczeniem jedynie dla ludzi nie związanych z przemysłem motoryzacyjnym — mówi rzecznik prasowy bielskiej FSM, Marek Rzempiel. — Jak można się było zorientować po wypowiedziach prasowych dyrektora naszej fabryki nie była to koncepcja nowa. Była ona nawet proponowana przez Włochów. Jest to więc powrót do wcześniej omawianych wariantów.

Kierownicze grupy obydwu fabryk można zaliczyć do zespołów ludzi ambitnych, bywających w świecie i doskonale zorientowanych w światowych trendach przemysłu motoryzacyjnego. Było więc dla nich oczywiste, że nie da się na długą metę utrzymać produkcji trzech odmiennych typów samochodów w liczbie: 200, 70, 35 tysięcy. Wcześniej czy później musi nastąpić umasowienie produkcji, aby była ekonomiczna i konkurencyjna. Fachowcy stwierdzają, że taki moment zaczyna się od pół miliona sztuk rocznie. Tyle tylko, że jak dotychczas, nie żyżono sobie robić cokolwiek wspólnie. Każda z fabryk dążyła do tego celu sama w sposób, który przede wszystkim dla niej byłby najlepiej opłacalny.

5

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:
Tadeusz Białecki,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakoneczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panaszewicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza
3/5 tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
onej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzę-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658-201045-139-11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począzki jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następnego —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.
Zam. 209. D-10.

Przegląd prasy

W sobotnio-niedzielnym wy-
daniu „RZECZYPOSPOLITEJ” (nr 6, 12, 18, 24) po raz
pierwszy publikowane są cieka-
we wspomnienia gen. Józefa
Kuropieski o członkach Rady
Wojskowej MON. Oto charak-
teryzacja długoletniego mini-
stra obrony narodowej (1958—
—68), od 1963 roku marszałka
Polski, Mariana Spychalskiego:
„Wojska nie znał. Do 35 ro-
ku życia nie miał z nim nie-
wspólnego — poza kartą
stwierdzającą, że należy do
pospolitego ruszenia z katego-
rią «C». W trzy lata później
był już pułkownikiem i szefem
Sztabu Generalnego WP, a
jeszcze w rok później gene-
rałem i zastępcą ministra obrony
narodowej do spraw politycz-
no-wychowawczych i naj-
bardziej miarodajną osobą w
odradzających się siłach zbroj-
nych.

Bez reszty poświęcający się
politycznej działalności wojska,
której zakres i zasięg — mimo
zakazów wojny — stale
wzrastał, nie miał przy naj-
lepszej okazji do wglębnienia
się i poznania specyfiki wojska.
Po wyjściu z armii wiosną
1949 roku wrócił do niej
dopiero po przeszło 7 latach
(w tym prawie 6 lat więzie-
nia) znając ją do tej pory je-
dynie z zewnątrz — z
rodzaju narad, odpraw, uro-
czystych akademii — bo w
latach 1946—49 rzadko brał
udział w ćwiczeniach czy
grach wojennych. (...)

Nie miał również zdolności
i wprawy w jasnym wyraża-
niu swych myśli. Niejednokrot-
nie po kilkunastominutowym
przemówieniu w czasie posie-
dzenia Rady Wojskowej nie-
wielu słuchaczy wiedziało o co
mu chodzi. Czy wpływała na
niego większa liczba uczestni-
ków zebrania, czy wrodzona
nieśmiałość — nie wiadomo.
Ale jeśli rozmawiał w cztery
oczy, czy choćby w małym
gronie, to nie miało się wątpli-
wości słuchając go, o co chodzi.
Z biegiem czasu, w miarę pe-
wniejszego usadowienia się w
fotelu ministra, skłonność do
pryncypialnych rozmów jak i
ich trwania, wyraźnie wzra-
stała. A jeszcze później ich
ton stał się coraz bardziej
pouczający, wręcz mentorski
— i to w sprawach fach-
owych, których subtelnosci nie-
równie lepiej znał jego bez-
pośredni pomocnicy czy starsi
dowódcy.

Duże doświadczenie wojsko-
we miał gen. Jerzy Bordziłow-
ski. Ale nie był przygotowa-
ny do pełnienia funkcji szefa
Sztabu Generalnego Wojska
Polskiego.
„W czasie przemówień mini-
stra przyglądał się mu z wy-
raźnym zaciekawieniem, co też
on tam jeszcze wymyślił. Sprytnie-
jszy i nierównie bardziej
doświadczony w postępowaniu
z ludźmi, nie szukał u mini-
stra natchnień dla swych po-
czynków — przekonany, że ich
u niego nie znajdzie. Z cza-
sem, gdy pozycja Bordziłow-
skiego stała się pewniejsza,
pozwalał sobie na przypomina-
nie ministrowi, że nie jest
kierownikiem kancelarii, ale
szefem sztabu. (...)

Do roli szefa sztabu generał
zgodził nie był przygotowany. O
ile mógł ją pełnić przy mar-
szalku Rokossowskim, nieprze-
ciętnym dowódcy posiadającym
ogromne doświadczenie, to nie
powinien jej sprawować przy
absolutnym cywiliu Spychal-
skim.”

Z inspiracji Władysława Go-
mulkę członkiem Rady Wojsko-
wej i szefem wywiadu został
gen. Grzegorz Korczyński. Nie
znał on rzemiosła wojskowego
i nawet nie próbował sobie
przyswoić, ale był dobrym i
uczynnym człowiekiem szcze-
rze i całkowicie oddanym i
sekretarzowi KC PZPR.

Z kolei o Gomulce, Bierucie
i Ochale interesująco opowia-
da Włodzimierz Sokorski. W
wywiadzie radiowym, którego
zapis opublikował tygodnik
„WPROST” (nr 4), mówił
miedzy innymi:
„Bierut, w przeciwieństwie
do Gomulki, którego bardzo
lubiliśmy i szanowaliśmy, był
stosowany, spokojny, a Gomulka
był cholerykiem. Bierut był
kulturalny, przyzwolił się
ubierać, bardzo lubił kobiety,
to nas zresztą zawsze łączyło.
Kiedyś mu powiedziałem:
«Słuchaj, wiesz, co o tobie mō-
wią? Bolek — o jebaka». W
pierwszej chwili sam zdębia-

łem, że mu to powiedziałem,
a on mi koniak postawił, był
szczęśliwy. Był człowiekiem
kulturalnym w objęciu, przy-
ciągał do siebie ludzi. Przecież
dlaczego, na miły Bóg, milion
ludzi było na jego pogrzebie?
Jego sposób przemawiania, w
przeciwieństwie do Ochaby czy
Gomulki, był ciepły: «Bracia i
Siostry...», «Rodacy». Od Och-
aby nigdy nie mogłem wydo-
być na Nowy Rok zwrótu «Roda-
cy». Nie, zawsze mówił «Towa-
rzysze». Tłumaczyłem mu:
«Człowieku, jesteś prezyden-
tem, zwróć się szerszej do lu-
dzi». Nie!

Tak, Bierut był człowiekiem
o pewnym kalibrze intelek-
tualnym. Natomiast politycznie
był to dogmatyk i człowiek
Stalina.”

NAJSTARSZY BUMERANG ŚWIATA?

W zmienionej formule uka-
zał się w kioskach magazyn
popularyzatorski „WIEDZA
I ŻYCIE” (nr 1 — cena 280 zł).
Miesięcznik adresowany jest
do szerokiego kręgu odbior-
ców. W styczniowym wydaniu
Zdzisław Skrok pisze o sensa-
cyjnym odkryciu archeologów
krakowskich.

W jaskini znajdującej się w
południowej ścianie skały
Oblazowa nad rzeką Białką
znaleziono najstarszy bume-
rang świata. Używał go 23
tysiące lat temu ludźcie z krę-
gu kultury wschodniograwe-
ckiej. Karpacki bumerang ma
68 cm długości, 7 cm szeroko-
ści i 1 cm grubości. Najstarsze
znaleziska tego rodzaju z ter-
enu Australii pochodzą sprzed
9—10 tysięcy lat.

Okazuje się, że bumerang
jest wynalazkiem interkultu-
rowym. Znalgi go nie tylko au-
stralcjczycy, Australijczycy,
lecz również starożytni Egip-
czanie, Grecy, Aztekowie, Ale-
uci z Alaski, pierwotni mies-
kańcy Indii i inni. Zastosowa-
nie bumerangu świadczy o
wysokim poziomie myśli tech-
nologicznej.

„Stwierdzenie, iż odpowied-
nio zagięty pręt, rzucony pod
kątem 30—45 stopni do po-
wierzchni ziemi wznosi się w
górę ruchem obrotowym, do-
sięga zamierzonego celu od-
dalonego do 100—150 metrów,
a następnie powraca łukiem do
punktu, z którego został wy-
rzucony — to wszystko wyma-
gało nie tylko bacznej obser-
wacji zjawisk zachodzących w
przyrodzie, ale również wyma-
gało czynnego do niej stonu-
sowania, chęci wykorzystania jej
praw do realizacji własnych
korzyści, zwiększenia efektyw-
ności własnych działań, a za-
razem minimalizacji wydatko-
wanej na ten cel energii. Bume-
rang z jaskini w Oblazowie
cofa nas więc do krytycznego
etapu «paszycia przyrody», a
rozpoczął karierę konkwista-
dora, a zarazem budowniczego
świata.

Bumerang szybujący przed
23 tysiącami lat nad malow-
ną karpacką doliną niósł już
w sobie zapowiedź wszystkich
późniejszych latających apar-
atów, był prekursorem awiacji.
A to wszystko dzieło się tak
dawno i to na terytorium na-
szego kraju!”

Karpacki bumerang wykona-
ny został z ciosu mamuta. Po-
lowanie na mamuty było pod-
stawowym źródłem utrzymania
ludności kultury wschodnio-
graweckiej, która istniała na
terenach dzisiejszej Austrii,
Czechosławacji i Ukrainy.
Część tej ludności przybyła na
nasze ziemie przez przełęcz
karpackie i zasiedliła głównie
Podkarpacie oraz tereny przy-
ległe.

JEZYKOWE OBRAZY ZIMY

O innych ciekawych spra-
wach sięgających daleko w
przeszołość pisze na łamach
miesięcznika „CZŁOWIEK I
ŚWIATOPOGLĄD” (nr 12)
Marian Jurkowski. Wyjaśnia
etymologię zimy w językach
indoeuropejskich.

„Jest to stary indoeuropejski
pierwiastek gheim — zachowa-
ny w łacińskiej (hiems) i greckiej
(cheima) nazwie zimy, przy
czym nazwa grecka ozna-
cza także burzę. Tutaj dodać
jeszcze można litewski wyraz
ziemia, awestyjski zimo =
«mróz, zima», oraz sanskrycki
hima = «zima, śnieg, zimno»,
która to wyraz zawarty jest w
staroindyjskiej nazwie najwy-
ższych gór świata — Himalaje,
dosłownie «mieszkanie (= al-
ja) śniegu», co zostało prawdo-
podobnie przekształcone z
pierwotnego imiesłowu Hima-
wa(n)a «należący do krainy
śniegu». Niessalanie od rō-

nych etymologii słowo hima w
Himalajach oznacza naszą zi-
mę.

Prastary pierwiastek ozna-
czający zimę, zimno, mróz lub
śnieg zawarty jest też w łaciń-
skim wyrazie hibernus «zimo-
wy», skąd pochodzą staropolskie
hyberny, czyli «leża zimo-
we...» Tu wymienić należy też
grecką nazwę śniegu — chion
oraz współczesne wywodzące
się z łaciny ludowej romańskie
nazwy zimy, np. hiszpańska
invierno czy francuska hiver.
Przy okazji warto dowiedzieć
się, że w języku poetyckim
Francuzi, co jest dziwne, liczą
lata nie na wiosny tylko wła-
śnie zimy; może są one we
Francji piękniejsze? (...)

Interesująca jest germańska
nazwa zimy, niem. i ang. Winter,
szwedzka vinter, gocka
vintrus — pochodzące od veit,
hveit, co prowadzi do prain-
doeuropejskiego pierwiastka
kveit, — czyli ang. White i
niemieckiego weiss «biały». A
włec Germanie nazwali zimę
od koloru śniegu, co nas spe-
cjalnie nie dziwi, bo Germa-
nie mieszkali pierwotnie na
Półwyspie Jutlandzkim i w
południowej Skandynawii,
gdzie białego, srebrzącego się
śniegu w zimie nie brakowało.
Była to zresztą najdłuższa po-
ra roku i Prageranie właśnie
za pomocą zim liczyli lata (po-
dobnie jak w poezji Francuzi).
My natomiast lata, czyli rok,
liczymy według najcieplejszej
pory roku, mimo iż nie jest
ona najdłuższą.”

ODPOWIEDZ NA INWAZJĘ?

W krajach zachodnich białe
narody indoeuropejskie mają
obecnie problemy z inwazją
innych ludów. Niektórzy de-
mografowie obawiają się na-
wet samozagłady narodów za-
mieszkujących kontynent euro-
pejski. Interesujący pogląd w
tej sprawie przedstawił Um-
berto Eco. Wywiad z nim
przedrukował miesięcznik „LI-
TERATURA NA ŚWIECIE”
(nr 10). Przetaczam najwa-
niejszy fragment.

„Nie ulega wątpliwości, że
w ciągu jednego czy dwóch
stuleci rasa tak zwana biała
kaukaska zmieszana się w Euro-
pie z Arabami, Afrykańczyka-
mi oraz innymi ludami Trze-
ciego Świata. Chciałbym, żeby
nowi imigranci mieli możli-
wość czytania Kanta, by do-
szli w jakiś sposób do włas-
nego dorobku cywilnego. Tak
jak my mogliśmy nauczyć
się wiele z Korana. Nie po-
za tym nie można zrobić, ponie-
waż naszym zadaniem jest
zmniejszenie przyrostu natu-
ralnego, aby nie mieć proble-
mów ekonomicznych; to jasne,
że zmniejszając przyrost natu-
ralny, za dwieście lat Europa
będzie etnicznie mniej jasna,
a bardziej ciemna. Powtarzam,
w tym punkcie problem mój
polega na tym, aby doszło do
szczęśliwego połączenia wielu
kultur. Nie mogę przecież pło-
dzić więcej dzieci, aby po-
wstrzymać napływ Arabów, a
później walczyć, aby znaleźć
zatrudnienie dla własnego po-
tomstwa... Arcydziełem kultury
łacińskiej była latinizacja bar-
barzyńców germańskich oraz
zgermanizowanie się jej samej.
Alkuin nie jest gorszy od Cy-
cerona. Alkuin jest dobrym
produktem łączenia się kultur.
Problemem Imperium Rzym-
skiego nie było podzielenie więk-
szej liczby potomków, aby
uniemożliwić Afrykanom in-
wazję Rzymu; w przeciwnym
razie straciłbyśmy św. Augu-
styna, który był Afrykańczy-
kiem. Rzym w porę wyczuł, iż
nowe grupy etniczne przygo-
towały się do inwazji Europy
i że trzeba utworzyć kulturę
wystarczająco gęstą, aby mo-
gła ją nie wchłonąć, lecz
zmieszać się z nią.”

Co mają robić Francuzi, skro-
ro imigranci stanowią już po-
nad dziesięć procent ludności
i wykazują się czterokrotnie
większym przyrostem natural-
nym? Umberto Eco radzi im,
żeby zwiększyli płace cudzo-
ziemcom, ponieważ dobrobyt
prowadzi do ograniczenia naro-
dzin...
„Niech płacą podwójnie ro-
botnikom afrykańskim, a zoba-
czyć, że oni będą mieli o po-
łowę mniej dzieci. Wiemy
wszyscy, że jazda samocho-
dem, czytanie książek, chodze-
nie do kina i do teatru powo-
duje zmniejszenie się stosun-
ków płciowych. Jasne, że lu-
dzie kochają się bez przerwy,
jeżeli nie mają nic innego do
roboty. A gdy mają dużo za-
jęć, poświęcają się seksowi
tylko w sobotę...”

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

ANNA RAWICKA — naczelnia pielęgniarka
w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym
im. Mikołaja Kopernika w Łodzi.

— To był bardzo ciężki tydzień, bo z jednej strony muszę się
borykać z brakiem pielęgniarek i salowych w szpitalu, a z dru-
giej dyskutowaliśmy zażarcie nad propozycjami nowego taryfika-
tora plac dla służby zdrowia. Niestety, ten taryfikator niczego
nie rozwiązuje. Gorzej, bo komplikuje sytuację pielęgniarek i po-
głębia kryzys.

Przez wiele lat polityka wobec służby zdrowia była zła i mu-
siała w końcu doprowadzić do tego, co mamy obecnie. Chorzy
skarżą się na pracę służby zdrowia, mają do nas żal, mają różne
pretensje, ale my jesteśmy już bezsilni. Nic nie możemy zrobić,
aby zmienić ten stan. Może się on jeszcze pogorszy, jeśli nie
zmieni się stosunku do potrzeb służby zdrowia.

Szkole pielęgniarską ukończyłam 35 lat temu i byłam tak wy-
chowywana i uczona, że o pieniądzech nie należy mówić. Praca
z chorymi to coś więcej, bo posłannictwo. Powinna ona dawać
zadowolenie, a pieniądze to sprawa drugorzędna. No i teraz ma-
my skutki takich postaw. Dziewczęta nie chcą iść do szkoły i
uczyć się pielęgniarstwa, bo to praca ciężka, trudna, odpowiedzial-
na i źle płatna. Ekspedientka, kasjerka, urzędniczka nie musi pra-
cować na trzy zmiany, może zachorować, wtedy wywieza się
kartkę, że sklep, okienko, oddział zamknięty z powodu choroby.
Szpitala zamknąć nie można, ale chyba dojdzie niebawem do
takiej sytuacji, że trzeba będzie zamknąć 2 lub 3 oddziały, bo
nie będzie miał tam kto pracować.

Był taki czas, że w szpitalu były pielęgniarki pozaetatowe, bo
liczyliśmy się z tym, że dziewczęta mogą chorować, powychodzą
za mąż i będą miały dzieci, musi więc być rezerwa. I była. Teraz
już jej dawno nie ma. Teraz brakuje salowych i pielęgniarek.
Brakuje 42 pielęgniarek w budynku przy ulicy Pabianickiej i 11
pielęgniarek na onkologii. Razem brakuje 53 pielęgniarek. Jak
ruszy Szpital Pomnik Matki, to odejdzie z „Kopernika” 80 pielę-
gniarek. Są etaty i nie ma chętnych. Sytuacja robi się wręcz tra-
giczna.

Nie ma salowych. Na noc muszą więc zostawać dwie pielę-
gniarki. One muszą również w dzień zastępować salowe. Podają
i wynoszą baseny, myją chorych, ściągają im łóżka. Są zmęczone
i nie mają siły, aby się do chorych uśmiechać, a chorzy tego oczę-
kują. Teraz bywa już i tak, że pielęgniarki odmawiają przyjmo-
wania nocnych dyżurów przy chorych, za które chcą im płacić
rodziny chorych. Nie są już w stanie tego robić. Dziewczęta chcą
zarabiać i ja się im nie dziwię. Ile na przykład będzie mogła dać
salowej według nowego taryfikatora? Będzie mogła im dać do
35 000 złotych. Przy stanie dzisiejszym cen to jest bardzo mało.

Autorzy nowego taryfikatora zapomnieli, że inne obowiązki ma
pielęgniarka w szpitalu, a inne — w przychodni rejonowej. Wed-
ług nowego taryfikatora pielęgniarka za nocny dyżur zarobi
mniej o 50 złotych niż zarabia teraz. Pielęgniarki w przychodniach
rejonowych nie muszą pracować w wolne soboty i niedziele. W
szpitalu muszą. Do tej pory pielęgniarki pracujące w oddziałach
neurochirurgii, neurologii, noworodków, intensywnej terapii miały
20-procentowy dodatek. Według nowego taryfikatora dodatku takiego
nie będzie. Zapomniano w ogóle o dodatku funkcyjnym dla
pielęgniarki oddziałowej, a przecież są oddziały, na których leży
około 60 pacjentów, gdzie jest od 15 do 20 ciężkich przypadków,
gdzie zdarzają się po 2—3 zgony dziennie.

Boję się, co się może stać, gdy przyjdą urlopy, choroby i zaczną
jeszcze bardziej brakować salowych i pielęgniarek. A mogłabym
jeszcze opowiedzieć o braku igieł jednorazowego zastosowania, o
braku. Myślę, że dość żalów. Wystarczy tego, aby zrozumieć, że
to naprawdę był ciężki i trudny tydzień. Może następny będzie
trochę lżejszy, choć wątpię, bo sytuacja się przecież nie zmieni.
Brakujących pielęgniarek nie przybędzie.

Notowała: BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Jan Duch siedział obok Georgii, patrzył na jej profil odbi-
jający się w oknie, zastanawiał się, jak długo ta kobieta będzie
z nim w Kanadzie. Jechała tylko po to, żeby dostać dokumenty
uprawniające do stałego pobytu — kolejny edykcję drugiej części
książki ANDRZEJA BRYCHTA — „Azyl polityczny”.

— Łódzcy liderzy Narodowej Demokracji pozardrościli kupcom
żydowskim. Szermując hasłem: „Swój do swego po swoje!” do-
prowadzili do otwarcia „Chrześcijańskiego Sklepu Odzieżowego”
po parzystej stronie ulicy 11 Listopada. Nawoływano „prawdzi-
wych” Polaków, żeby tylko tam zaopatrywali się w ubrania. Ale
frekwencja nie dopisywała i „chrześcijańska” placówka zwinęła
zagle — wspomina ADAM OCHOCKI.

— Była pulchną, dobijającą czterdziestki blondynką o łapczy-
wych ustach i chytrej, znieprawionej, zachlannej twarzy, zdolnej
jeszcze wzbudzić namiętność w niejednym mężczyźnie. Patrząc
z całą mocą w męzowskie oczy, przekazywała mu bezgłośnie bu-
rzą szalejących myśli i uczuć: na co czekasz? przecież to jest
okazja, idioto! Rusz się do diabła, bo zaczęły wrzeszczeć — po-
wieść ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO pt. „Pięćdziesiąt melo-
nów”.

— Stan zdrowia Leonida Breżniewa wpływał na jego zdolność
kierowania krajem. Często zmuszony był przerywać wykonywa-
nie swoich obowiązków lub też przerzucać je na nieustannie
rozrastający się sztab jego osobistych pomocników. Roboczy dzień
Breżniewa uległ skróceniu do kilku godzin. Zaczął on też wy-
jeżdżać na urlop nie tylko latem, ale i wiosną — pisze ROY
MIEDWIEDIEW.

— Szeroko rozpowszechniła się legenda, że Stalin sam zastrzelił
swoją żonę. Jest to apokryf wyspany z palca. Stalin sam nigdy
nikogo nie zabił, i z pewnością nie był po prostu zdolny tego
zrobić — pisze LEW RAZGON.

— Największe skupisko Polonii znajduje się w obwodzie żyto-
mierskim. Jest to o tyle ciekawe, że są to tereny, które przed
1939 r. nie należały do Polski. Natomiast we Lwowie, gdzie
mieszka 800 tys. ludzi, jest dziś 13 tys. Polaków — mówi WŁO-
DZIMIERZ WOSKOWSKI, kierownik Polskiej Agencji Konsular-
nej we Lwowie.

Do Czytelników „Odgłosów” zwraca się prezydent miasta Łodzi — JAROSŁAW PIETRZYK

Redakcja „Odgłosów” postanowiła raz w miesiącu udostępnić swoje łamy prezydentowi miasta Łodzi — JAROSŁAWOWI PIETRZYKOWI dla przekazania Czytelnikom problemów, z jakimi aktualnie ma do czynienia administracja województwa łódzkiego. Liczymy na to, że Czytelnicy będą przesyłali pod adresem redakcji pytania, uwagi, problemy, którymi chcieliby się podzielić z prezydentem miasta Łodzi i na

które chcieliby otrzymać wyjaśnienie, poznać stanowisko władz miasta i województwa. Prosimy na kopertach o dopisek: „Pytanie dla prezydenta”. Swoje uwagi, postulaty i pytania można też przekazywać dyżurnym reporterom podczas czwartkowych dyżurów. Będziemy starali się, aby prezydent miasta Łodzi mógł wypowiadać się na naszych łamach zawsze pod koniec mijającego miesiąca. Czekamy na Wasze listy i uwagi!

Poznajmy nasze racje



Foto: Grzegorz Gatański

Z przyjemnością korzystam z propozycji redakcji „Odgłosów”, aby za jej pośrednictwem przekazać mieszkańcom Łodzi i województwa łódzkiego uwagi i opinie dotyczące kilku zasadniczych spraw, którymi zajmujemy się, albo które sprawiają nam takie czy inne kłopoty.

Wydaje mi się, że mieszkańcy województwa nie zawsze i nie do końca wiedzą, jakim procesom poddana jest obecnie administracja, jak dzielą się kompetencje i odpowiedzialność. Chciałbym zwrócić uwagę na pewne uogólnienie, jakim posługuje się wielu ludzi, kiedy mówi o władzy. Nie rozróżniają oni kompetencji władzy ustawodawczej — rad narodowych i władzy wykonawczej — administracji. Otóż już piąty rok działa ustawa o radach narodowych i samorządzie terytorialnym, na mocy tej ustawy rada narodowa jest pełnym gospodarzem danego terenu i decyduje — jeśli dysponuje po temu odpowiednimi sumami pieniężnymi — o tym, co się na tym terenie dzieje i gdzie będzie. Administracja, czyli urzędy wojewódzkie, miejskie czy gminne są wykonawcami tych postanowień.

Podam taki przykład: jeśli ktoś zwraca się do mnie z pytaniem, zaprawionym pretensjami, dlaczego w Łodzi ma się budować tor kolarski a nie potrzebna od lat filharmonia, to oytanie to i zawarte w nim pretensje skierowane zostały pod niewłaściwym adresem. Budowa toru kolarskiego jest akurat inwestycją centralną i zupełnie od UML i RNML niezależną, natomiast budowa filharmonii jest zależna, ale ani RNML, ani UML nie posiadają niezbędnych na ten cel funduszy.

Rady narodowe do końca nie potrafią uświadomić sobie wszelkich konsekwencji, jakie wynikają z tego faktu, że są one gospodarzami swego terenu. RNML i UML są gotowe i chętnie przekazać do miast i gmin szereg uprawnień, aby tam można było skutecznie decydować o sprawach miasta

czy gminy, ale rady narodowe miasta czy gminy nie zawsze tego chcą. Nie czują się do tego przygotowane, czasem brak im odwagi, aby w tak trudnym czasie wziąć na siebie tyle odpowiedzialności. Czasami nawet się temu nie dzielwią.

Administracja ze swej strony rozpoczęła w 1988 roku proces doskonalenia swej struktury. Powstał nowy statut urzędu, o 20 procent zmniejszyliśmy etaty dla kadry kierowniczej, zmniejszając tym samym liczbę wydziałów. Nie zostawiamy jednak zwolnionych ludzi na ulicy, przekazujemy ich do dyspozycji urzędów dzielnicowych, miejskich, gminnych gdzie przede wszystkim obywatel styka się z urzędem, gdzie powinni pracować ludzie dobrze przygotowani aby kontakt obywatela z urzędem nie sprawiał mu kłopotu, aby przebiegał sprawnie, z korzyścią dla obywatela i jego interesów. Wiem, że jeszcze nie zawsze tak się dzieje, ale nasze wysiłki zmierzają do tego, aby stan ten ciągle poprawiać.

Mogę tu powiedzieć, że ujmując rzecz statystycznie liczba pracowników administracji przypadających na 10000 mieszkańców łódzkiego jest mniejsza ze wszystkich województw, co też chyba o czymś świadczy.

Co dziś najbardziej nam przeszkadza?

Przede wszystkim wadliwy system tworzenia budżetu rady narodowej. Ten system nie pozwala rozwiązać wielu problemów, które w Łodzi wymagają szybkiego działania. Nie pozwala wyjść nam poza pewien pułap możliwości. Na czym to polega? Polega to na tym, że przy tworzeniu budżetu miasta Łodzi i województwa łódzkiego nie bierze się pod uwagę faktu, że miasto nasze spełnia wiele funkcji ponadregionalnych. Miedzy innymi w dziedzinie kultury, nauki, ochrony zdrowia, ochrony środowiska, kształcenia, sportu. Z tego powodu nasze wydatki są o wiele większe niż wydatki innych miast. Zwracamy na to uwagę, mówimy o tym przy róż-

nych okazjach, ale jak do tej pory bez oczekiwanego rezultatu. Dotychczasowy system tworzenia budżetu rady narodowej pozostaje bez zmian i tworzy barierę dla podejmowania i realizowania wielu różnych inicjatyw i przedsięwzięć.

W Łodzi działają przedsiębiorstwa handlu zagranicznego, różne spółki, rzemiosło, instytucje. Mają one swój udział w kształtowaniu wielkości budżetu rady narodowej, ale jednocześnie Łódź odprowadza do budżetu państwa wiele miliardów złotych. Gdyby część z tego mogła pozostać w mieście, to wiele problemów miasta nie byłoby tylko ciągłymi postulatami. Patrzymy na to nie z partykularnego punktu widzenia, dostrzegamy liczne przebiegi powiązania, jakie łączą Łódź z całym krajem i rozwiązanie naszych — łódzkich z pozoru tylko — spraw miałyby też charakter ogólnopolski, bo służyłyby z pożytkiem całemu krajowi.

Duże znaczenie przykładamy do miastotwórczych przedsięwzięć. Za takie uważamy organizację w Łodzi Targów „Interfashion”. W 1988 roku podpisano wiele umów i kontraktów. Może wydawać się, że nie posiada to dla miasta większego znaczenia. Jest to jednak sprawdzian organizacji targowej imprezy. Przygotowujemy się do III Targów „Interfashion” w 1989 roku i myślimy o IV Targach w 1990 roku.

Organizacja Targów „Interfashion” w Łodzi przyspiesza wiele problemów, z którymi miasto musi się uporać. Na przykład z rozwojem sieci hoteli i restauracji. Zwracamy więcej uwagi na estetykę w mieście, a w tej dziedzinie jest szczególnie dużo do zrobienia. Problemy te stają się wspólne i zmuszają zakłady przemysłu lekkiego do udziału w ich rozwiązywaniu. Ma to znaczne znaczenie nie tylko materialne, ale i moralne, a nawet nie bałbym się powiedzieć — polityczne. Odpowiedzialność za wygląd Łodzi staje się powoli sprawą nas wszystkich.

Z takiego widzenia spraw narodziła się myśl zmodernizowa-

wania ulicy Piotrkowskiej. Zarzucano nam do tej pory, że malujemy tylko partery domów. To prawda. Wyciągnęliśmy z tego wnioski i narodził się pomysł zmodernizowania ulicy Piotrkowskiej, aby na odcinku od placu Wolności do alei Adama Mickiewicza stała się ona ciągiem handlowo-spacerowym. Przy czym wcale nie chodzi o zmodernizowanie tylko kamienic frontowych na tej ulicy, ale również oficyn, podwórek, jak też uzbrojenia podziemnego i wewnątrz domów.

Jest to wielkie przedsięwzięcie i bardzo kosztowne. Zmodernizowanie odcinka ulicy Piotrkowskiej od ulicy Juliana Tuwima do ulicy Zamennaia będzie kosztowało, w cenach z 1988 roku, 4 miliardy złotych. Modernizacja tego odcinka rozpocznie się 15 maja 1989 roku. Przede wszystkim nie dlatego, że mieści się tu UML, ale dlatego, że jest on najlepiej do tego przygotowany, że najmniej będzie stosunkowo kosztował. Przez ten czas mamy nadzieję zgromadzić pieniądze na dalsze prace. Mamy nadzieję, że zbiórka tych pieniędzy stanie się interesem społecznym, że poprą nas różne instytucje, spółki, przedsiębiorstwa.

Przygotowuje się koncepcja modernizacji ulicy Piotrkowskiej, która — w moim przekonaniu — jest bardzo ciekawa i powinna stać się podstawą modernizacji całego środowiska Łodzi. Przedsięwzięcie to ogromne, ale i niezbędne. Jego realizacja wymaga społecznego poparcia i zaangażowania. Rodzi ona — będzie szereg problemów niełatwych w rozwiązaniu i wymagających nowych sposobów działania. W czasie modernizacji domów trzeba przekwaterować mieszkańców. Gdzie? Chcemy powołać spółdzielnię z udziałem kapitału UML i przez to przyspieszyć budowę domów z rotacyjnymi mieszkańiami.

Zdajemy sobie w UML, w pełni sprawę z tego, że priorytety ustanowione przez rząd Mięczysława F. Rakowskiego: gospodarka żywnościowa, budownictwo mieszkaniowe i ochrona środowiska mają dla Łodzi kapitalne znaczenie. W świetle jednak dokonujących się zmian, rosnących cen i postępującej inflacji rozwiązanie problemów wynikających z priorytetów będzie trudne, a być może nawet niekiedy niewykonalne. Skonstruowaliśmy bowiem budżet w cenach z 1988 roku. Zakładając że inflacja zatrzyma się na planowanych 60 procentach, to nie mam żadnej pewności, czy rewaloryzacja funduszy budżetowych pokryje powstałe straty. W 1988 roku zrewaloryzowano tylko te straty, które powstały z ruchu cen urzędowych i tylko w granicach 13,5 procent a to jest mniej niż nam potrzeba, niż wyniosły straty rzeczywiste. Potrzeby Łodzi są ogromne, możliwości raczej skromne. Dlatego z troską patrzymy na problem nr 1 — budownictwo mieszkaniowe. Wiemy przecież jak długa jest kolejka oczekujących. Ale to jest oddzielny problem.

Będę wdzięczny, jeśli Czytelnicy „Odgłosów” zaakceptują tę formę dialogu i zechcą w listach do redakcji, bądź do mnie wyrazić nie tylko opinię o tym, co powiedziałem, ale też swoje uwagi, przemyślenia i propozycje, jak też pytania dotyczące naszej wspólnej sprawy — ŁODZI!

Zanotowała:
BOGDA MADEJ

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1.

6 lutego 1989 roku rozpoczyna się obrady „Okrągłego stołu”. Pomyślano to wiadomo, gdyż trzeba się szybko porozumieć co do przyszłości i zasięgu reform w Polsce i potrzeba zdobyć dla nich jak najszersze poparcie społeczne. Nowy system polityczny PRL kształtuje się nie bez oporów, nieufności i przeciwności. Ciągłe jestesmy u początku tego procesu przeobrażeń. Ciągłe niejasny jest sposób, w jaki mają się te zmiany dokonać. Jak ma w Polsce końca XX wieku funkcjonować polityczny pluralizm?

Wybrałem się na zebranie politologów. Dyskutowano o zagrożeniach, jakie występują w Polsce roku 1989. Zagajający dyskusję prof. Zdzisław Grzelak powiedział między innymi, że „blatny incydent może pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki nie tylko dla Polski, ale i dla Europy”. Jakie występują dziś zagrożenia?

Przede wszystkim natężenie i charakter sprzeczności, braku wyraźnych programów, a co więcej metod i sposobów wcielania w życie nawet mało wyrazistych programów. Strategia rozwoju społecznego w warunkach złej gospodarki i inflacji dopiero rozwija się, kształtuje. Wszystko jest płynne, wszystko kształtuje się, panuje chaos cen, plac i kosztów. A najbardziej niepokoić musi stan i charakter świadomości społecznej.

W toku interesującej dyskusji na temat zagrożeń zabrakło mi wyraźnego wyodrębnienia i określenia dwóch zagrożeń, wpływających zresztą ze stanu świadomości społecznej. Po pierwsze — są to różne grupy młodych, sfrustrowane, agresywne, nie podlegające żadnej kontroli i inspiracji, działające w oderwaniu od innych, powodowane niekiedy głupotą i brakiem umiejętności politycznego myślenia, których determinacją może doprowadzić do nieprzewidywanych skutków, i w sposób nieoczekiwany zahamować proces przeobrażeń. Byłaby to tragedia.

Z tej ziemi

Najtrudniej zmienić sposób myślenia

Po drugie — mimo licznych deklaracji popierających dokonywane przeobrażenia mamy wśród nas dość liczną grupę konserwatywnie nastawionych ludzi, którzy z różnych powodów boją się wszelkich zmian, którym zmiany te zagrażają. Ludzi nastawionych konserwatywnie można znaleźć w różnych grupach społecznych i grupach interesów. Pluralizm jest dla nich największym zagrożeniem, gdyż najwięcej tracą. Nie lekceważyłbym tego zagrożenia. Trzeba bowiem wiedzieć, że ludzie nastawieni konserwatywnie znajdują się przede wszystkim we wszelkich strukturach aparatu władzy i to zarówno politycznego, jak i administracyjnego. Włączając w to również gospodarkę. Fakt, że są oni w dużym stopniu zorganizowani, że mają wpływ na wszystko, co dzieje się obecnie w Polsce, stanowi tym większe zagrożenie. Zresztą ilustracją tego był przecież przebieg drugiej części obrad X Plenum PZPR. Ale podjęcie uchwały — nawet najbardziej postępowej — przyjęcie stanowiska, to dopiero początek procesu przemian. Dogmatyzm — jedna z form konserwatywności — ma głębokie i silne korzenie w społecznej świadomości.

2.

Wielu zdaje sobie sprawę z tego, że struktura organizacyjna partii musi ulec zmianie. Ale jak tego dokonać? W jakim kierunku mają pójść zmiany? Wiktor Pyrkosz — dyrektor ZTK „Teofilów” i członek BP KC PZPR — w wywiadzie dla „Dziennika Łódzkiego” wysunął propozycje, aby struktura instancji PZPR nie była we wszystkich województwach jednolita, ale dopasowana do istniejących potrzeb. Inna w Łodzi i inna w Suwałkach. I na to zgoda. Natomiast inne jego poszukiwania poszły w kierunku wzmocnienia KL PZPR i przekształcenia komitetów dzielnicowych w bardziej uspołecznione, w których byłoby tylko „ciała wybieralne i komisje społeczne”. Ten kierunek poszukiwań budzi moje wątpliwości.

Wielu ludzi fascynuje się słusznym założeniem, że miejsce pracy, zakład pracy nie może być miejscem walki politycznej. W zakładzie pracy — jak sama nazwa wskazuje — powinno się pracować. A przecież nasza praktyka dowodzi, że tak się nie dzieje. Jak wynika z „Rocznika statystycznego 1988” w roku 1987 na 1 robotnika grupy przemysłowej przypadło ogółem 220 godzin nieprzepracowanych, nie licząc urlopow. Jeśli zsumuje się ilość godzin nieprzepracowanych z powodu choroby, opieki, nad dzieckiem, urlopow macierzyńskich, przestoju i godzin nieobecności nieusprawiedliwionej, to otrzymamy 182 godziny przypadające na 1 robotnika. Różnica między tymi ilościami wynosi 28 godzin. Tyle więc wynosi ilość godzin nieprzepracowanych z innych powodów. Można tu zaliczyć narady, zebrania, spotkania i inne formy działalności politycznej i społecznej prowadzonej w miejscu pracy oraz w czasie pracy.

Koncentrując więc uwagę na zachowaniu działalności politycznej — ale bez walki — w miejscu pracy pozostawia się wolne pole dla walki politycznej w miejscu zamieszkania, środowisku i temu podobnie. Czy ma się tam toczyć walka bez udziału PZPR? Przecież doskonale wiemy, że działalność PZPR w tych dziedzinach jest słaba, żeby nie powiedzieć szczątkowa lub żadna. Trzeba się więc przygotować i do takiego działania. Zająć się tym powinny właśnie instancje partyjne miejskie, dzielnicowe, gminne. I powinny dlatego być wzmocnione, rozbudowane, ale nie w aparacie biurokratycznym, ale powinny otrzymać wsparcie merytoryczne i polityczne. Wymaga to poszukiwań, dyskusji, rozważań. Jakoś do tej pory, poza decyzją zmniejszenia aparatu KC PZPR o 45 procent i zamianą niektórych wydziałów w komisje, brakuje takich dyskusji i poszukiwań na szerszą skalę.

3.

Zostałem zaproszony do prac Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”. Budowa takiego pomnika to sprawa trudna. Wystarczy sobie przypomnieć spory wokół budowy Pomnika Powstańców Warszawy. Trudno jest zbudować taki pomnik, który zadowoliliby wszystkie oczekiwania. Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Poznań” w Poznaniu też się nie wszystkim podoba. Trudno jest zbudować pomnik człowieka, ale jeszcze trudniej pomnik żołnierzy jakiegokolwiek armii.

Armia „Łódź” powstała 23 marca 1939 roku, dowodził nią gen. Julian Rómmel. Składała się we wrześniu 1939 roku z 5 dywizji piechoty, dwóch brygad kawalerii — w tym Woiłyńskiej Brygady Kawalerii i Brygady Obrony Narodowej „Sieradz”, 5 eskadr lotniczych, dysponowała 168 działami polowymi, 10 działami przeciwlotniczymi, 50 czołgami rozpoznawczymi, 2 pociągami pancernymi i 49 samolotami. Skapitulowała 29 września 1939 roku.

Sygnalizuję problem. Myślę, że w najbliższym czasie trzeba będzie więcej miejsca poświęcić tak samej Armii „Łódź”, jak i sprawom związanym z budową pomnika.

W lutym 1950 roku Teatr Nowy w Łodzi wystąpił ze sztuką Vaszka Kani „Brygada szlifierza Karhana”. Reżyserowali kolektywnie: Jerzy Męnurowicz, Kazimierz Dejnek i Janusz Warmański. Szlifierza Karhana grał Józef Piłarski, Kazimierz Dejnek — jego syna. W Łodzi prapremiera odbyła się 12 listopada 1949 roku. Sztukę — podczas występów Teatru Nowego w Warszawie — obejrzał Leon Schiller — wówczas już dyrektor Teatru Polskiego. Wyszli nie rzekłszy słowa.

W marcu 1950 roku w salach Muzeum Narodowego w Warszawie odbyła się pierwsza wystawa sztuki realizmu socjalistycznego.

Dokonywał się przełom.

10 marca prasa doniosła, że w ciągu 10 dni marca 1950 roku powstało 126 nowych spółdzielni produkcyjnych. Wprowadzono planowe zatrudnianie absolwentów szkół wyższych, czyli nakazy pracy. 19 kwietnia wyszła ustawa o zabezpieczeniu socjalistycznej dyscypliny pracy. 26 kwietnia 1950 roku ustanowiono 1 maja świętem państwowym. 6 maja odbył się I Krajowy Zlot Korespondentów Robotniczych i Chłopskich pod hasłem: „Prasa Polski Ludowej musi być jak najściślej powiązana z masami”. 8 maja odbył się Ogólnopolski Zjazd Polonistów, który wolał o klasowe kryteria oceny literatury.

21 lipca 1950 roku weszła w życie ustawa o planie sześcioletnim. 6 września padł rekord murarski: w ciągu 8 godzin ułożono 40.548 cegieł. 23 października pojawiła się pierwsza miejska taksówka w Warszawie — „Pobieda”. 28 października dokonano wymiany pieniędzy według relacji: 100 do 3 złotych. Kto miał oszczędności w PKO, ale nie przekraczające 100.000 złotych otrzymał 3.000 złotych, pieniądze przechowywane w domu i przekraczające 100.000 złotych wymieniano w relacji 100 do 1 nowego złotego. Jednocześnie wprowadzono ustawę o zakazie posiadania obcych walut oraz złota i platyny.

5 grudnia 1950 roku Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego zarządziła, aby do 1 maja 1951 roku zlikwidować analfabetyzm wśród robotników we wszystkich zakładach pracy. 18 grudnia 1950 roku Uniwersytet Łódzki nadał setny stopień doktorski, otrzymała go mgr Antonina Kłoskowska.

Mam przed sobą niezwykle wówczas popularną książkę: „Kalendarz Robotniczy 1951”. Pracę nad jego przygotowaniem zakończono 1 listopada 1950 roku. Druk w grudniu 1950 roku. Jak to wówczas szybko szło. Aż dziś bierz!

Jest to podstawowe, na ówczesne czasy, kompendium wiedzy. Popatrzmy więc, co wówczas należało wiedzieć?

Kalendarz ma na okładce zdjęcie robotnika kończącego montaż traktora „Ursus”. W tle napis: „Realizujemy Plan 6-cio...”. Wydawcą była „Książka i Wiedza”. Zaraz za kartą tytułową wielki portret Józefa Stalina. Następnie nuty i słowa „Międzynarodówki”. Dalej portret Bolesława Bieruta, jego krótki życiorys, w którym można znaleźć nieprawdziwą informację — niejedną zresztą — że „we wrześniu 1939 roku znajduje się wśród walczących obrońców Warszawy”. Jak dziś wiemy 4 lub 6 września 1939 roku opuścił Warszawę i udał się do Lublina. Po zwycięstwie „Hymn Państwowy” — słowa i nuty. Dalej cytaty z referatu Bolesława Bieruta:

„Plan 6-letni — to program nie tylko gospodarczy, lecz równocześnie ideologiczny, polityczny, społeczno-ustrojowy.

Plan 6-letni — to plan, który stworzy mocne i niewzruszone podstawy nowego ustroju społecznego w Polsce, podstawy socjalizmu”.

Następnie idą życiorysy: Władysława Kowalskiego — Marszałka Sejmu Ustawodawczego RP, Józefa Cyrankiewicza — prezesa Rady Ministrów, Konstantego Rokossowskiego — marszałka Polski. W życiorysie tym — oczywiście nie ma ani słowa o tym, że był aresztowany jako... szpieg polski i japoński.

Na poszczególne miesiące przewidziano popularyzację różnych postaci z przeszłości i teraźniejszości. I tak w styczniu należało pamiętać o rocznicy powstania KRN, Stanisławie Staszycu; w lutym — o Ludwiku Waryńskim, Fryderyku Chopinie (pisane: Szopen); w marcu — o Szymonie Konarskim, Marcinie Kasprzaku, Karolu Świerczewskim; w kwietniu — o Juliuszu Słowackim, Włodzimierzu Majakowskim, Ernście Thaelmannie; w maju — o Samuelem Engelu, Jarostawie Dąbrowskim, Joachimie Lelewelu; w czerwcu — o Aleksandrze Puszkynie, Maksymie Gorkim; w lipcu — o Georgi Dymitrowie, Feliksie Dzierżyńskim — tu dano stosowne zdjęcie, jak Feliks Dzierżyński siedzi objęty ramieniem przez Józefa Stalina oraz duży portret Feliksa Dzierżyńskiego i jego życiorys — również w lipcu o Pawle FINDERZE i Małgorzacie Fornańskiej.

Na sierpień przypadła rocznica śmierci Waleriego Wróblewskiego, Augusta Babla, Andrieja Zdanowa, oraz rocznica rozstrzelania działaczy KPP i KZMP: Władysława Hibnera, Henryka Rutkowskiego i Władysława Kniewskiego. We wrześniu rocznica śmierci Janka Krasickiego i Mariana Buczka oraz rocznica urodzin Trofima Lysenki Bohaterami listopada i grudnia byli: Marcelli Nowotko, Jakub Jasiński, Alfred Lampe i Adam Mickiewicz. O przyczynie śmierci Marceliego Nowotki napisano:

„Zginął z rąk agenta sanacji w listopadzie 1942 r.”.

Są też okolicznościowe cytaty z dzieł Józefa Stalina, Bolesława Bieruta, Róży Luksemburg, Aleksandra Zawadzkiego, Włodzimierza Lenina, Hilarego Minca, ze wstępu do „Historii WKP(b)”, z rozkazu ministra obrony narodowej Konstantego Rokossowskiego, z „Deklaracji Ideowej PZPR”, z „Uchwały II Zjazdu KPRP” z sierpnia 1923 roku

Następnie jest duży rozdział: „Nasi nauczyciele”, w którym pisze się krótko o czterech klasykach: Karolu Marksie, Fryderyku Engelsie, Włodzimierzu Leninie i Józefie Stalinie. Jest rozdział o PZPR, w którym gromi się „antyrobotniczy charakter poglądów na państwo prawicowych socjalistów i gomulkowców”. Władysław Gomulka został aresztowany dopiero 2 sierpnia 1951 roku. Ogłasza się socjaldemokratów — „wrogami sojuszu robotniczo-chłopskiego” oraz stwierdza się, że „partia bolszewików, partia Lenina i Stalina — wzór partii nowego typu” i przypomina się, że PZPR jest „na drodze bolszewizacji”.

Myślę, że warto też przypomnieć ówczesne

Biuro Polityczne KC PZPR, w skład którego wchodził: Jakub Berman, Franciszek Jóźwiak-Witold, Hilary Minc, Stanisław Radkiewicz, Adam Rapacki, Konstanty Rokossowski. Zastępcami byli: Hilary Chelchowski i Stefan Matuzewski. Sekretarzami: Józef Cyrankiewicz, Franciszek Mazur, Zenon Nowak, Edward Ochab, Roman Zambrowski i Aleksander Zawadzki. Przewodniczącym KC PZPR był Bolesław Bierut.

Były zdjęcia członków Biura Politycznego, sekretarza KC PZPR i przewodniczącego KC PZPR. Był też podany skład Biura Politycznego KC WKP(b): Józef Stalin, Andriej Anriew, Ławrientij Beria, Nikołaj Bulganin, Nikita Chruszczow, Łazar Kaganowicz, Aleksiej Kosygin, Georij Malenkow, Anastazy Mikojan, Władysław Molotow, Nikołaj Szewnik i Kliment Woroszyłow.

A poza tym? Wiadomości o Warszawie, ZSRR, innych krajach, o świecie i poradnik: Co czytać? Przede wszystkim prace Karola Marksa, Fryderyka Engelsa, Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina. Poleca się też prace Ławrientija Berija „Przyczynki do dziejów organizacji bolszewickich w Kraju Zakaukaskim”. Jak ujął to ostatnio w ZSRR prawdziwi autorzy tej pracy zginęli bez wieści. Są też fundamentalne wówczas prace Adama Schaffa: „Wstęp do teorii marksizmu”, „Pogadanki o materializmie

nia 1950 roku podjęto uchwałę o budowie metra w Warszawie. Do końca 1950 roku miało powstać 10 stacji metra. Niestety, mamy rok 1988 i nie ma w Warszawie ani jednej stacji metra, choć po raz trzeci rozpoczęto jego budowę. Przyszłość metra w Łodzi natomiast — tak przecież niezbędnego — rysuje się więcej niż mgliście. Jak łatwo czasem jest planować, jak trudno później te plany realizować.

2 grudnia 1950 roku prasa doniosła o triumfie, że istniało już 2000 spółdzielni produkcyjnych. W lutym 1951 roku obwieściano nie mniej triumfalnie, że jest już 2.334 spółdzielni produkcyjnych. W maju 1951 wyszła na jaw „sprawa gryficka”, a we wrześniu tego roku — „sprawa drawska”, kiedy okazało się, że przy pomocy terroru, łamania prawa, stosowania wszelkich sposobów nacisku zmuszano chłopów do zapisywania się do spółdzielni produkcyjnych. Winni ukarano, a winnymi byli działacze partyjni i pracownicy Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego. Ale czy zlikwidowano samo zjawisko?

Z triumfem ogłaszano, że poszczególni przewodnicy pracy wykonali już plan sześcioletni. Na przykład 21 grudnia 1951 roku pracownica huty „Zygmunt” — Irena Dziklińska wykonała zadania planu sześcioletniego w dwa lata. 28 lutego 1952 r. zadania planu sześcioletniego wykonał górnik Szczepan Blaut. 18 grudnia 1951

Co zdarzyło się w Polsce w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych?

Co zapamiętać z tamtych czasów?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

historycznym”, „Pogadanki ekonomiczne”. Wcale nie ironizuję. Moje pokolenie uczyło się marksizmu z tych właśnie broszurek.

Sporo zaleca się pozycje antywatykańskie. Na przykład: Władysława Bienkowskiego — „Polityka Watykanu wobec Polski”, J. Góreckiego — „Rzym a Polska walcząca”, S. Krasowskiego — „Watykan a Polska”, Polecano prace S. Brodzkiego „Titowszczyzna”, stenogram z procesu, jaki odbył się w Budapeszcie: „Laszlo Rajk i jego wspólnicy przed Trybunałem Ludowym”. Polecano prace z „Biblioteki Przewodników Pracy: Wandy Gościńskiej „Mój wielki dzień”, Mieczysława Krajewskiego „3400 cegieł w ciągu 8 godzin”, Kazimierza Koźniewskiego „Ekstry i primy”, Karola Małcużyńskiego „Była to wielka narada wytwórcza” i tegoż autora „Ofensywa hutnicza rozwija front” i wiele, wiele innych.

Z literatury pięknej warto może wspomnieć, że polecano takie pozycje jak: Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament”, Tadeusza Konwickiego „Przy budowie”, L. A. Pijanowskiego „Pstrawski (Poemat o pracy górnika)”, „Strofy o Stalnie (Wiersze poetów polskich)”, Wiktora Woroszyłowskiego „Śmierci nie ma” i „Weekend mr Smitha”.

Takie to były na ten czas lektury. Kto dziś o tym pamięta? A przecież pamiętać trzeba.

Plan sześcioletni miał stworzyć trwałe podstawy socjalizmu. Założono, że w krótkim czasie nastąpi szybki i wszechstronny rozwój kraju, jego gospodarki i rolnictwa, a także dokonają się niezbędne przeobrażenia społeczne. Powstała Stocznia Szczecińska, w maju 1951 roku rozpoczęto budowę Nowych Tych, 14 grud-

nia 1950 roku podjęto uchwałę o budowie metra w Warszawie. Do końca 1950 roku miało powstać 10 stacji metra. Niestety, mamy rok 1988 i nie ma w Warszawie ani jednej stacji metra, choć po raz trzeci rozpoczęto jego budowę. Przyszłość metra w Łodzi natomiast — tak przecież niezbędnego — rysuje się więcej niż mgliście. Jak łatwo czasem jest planować, jak trudno później te plany realizować.

2 grudnia 1950 roku prasa doniosła o triumfie, że istniało już 2000 spółdzielni produkcyjnych. W lutym 1951 roku obwieściano nie mniej triumfalnie, że jest już 2.334 spółdzielni produkcyjnych. W maju 1951 wyszła na jaw „sprawa gryficka”, a we wrześniu tego roku — „sprawa drawska”, kiedy okazało się, że przy pomocy terroru, łamania prawa, stosowania wszelkich sposobów nacisku zmuszano chłopów do zapisywania się do spółdzielni produkcyjnych. Winni ukarano, a winnymi byli działacze partyjni i pracownicy Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego. Ale czy zlikwidowano samo zjawisko?

Z triumfem ogłaszano, że poszczególni przewodnicy pracy wykonali już plan sześcioletni. Na przykład 21 grudnia 1951 roku pracownica huty „Zygmunt” — Irena Dziklińska wykonała zadania planu sześcioletniego w dwa lata. 28 lutego 1952 r. zadania planu sześcioletniego wykonał górnik Szczepan Blaut. 18 grudnia 1951

roku inny górnik Wiktor Markiewka wykonał 577 procent normy.

A jednocześnie 23 lipca 1951 roku wprowadzono obowiązkowy skup zboża 15 lutego 1952 roku — obowiązkowe dostawy zwierząt rzeźnych, 24 kwietnia 1952 roku — obowiązkowe dostawy mleka. Wprowadzono też reglamentację niektórych artykułów żywnościowych. Od 1 kwietnia 1952 roku obowiązywały kartki na dania mięsne w restauracjach, od 2 maja — kartki na mydło i proszki do prania, od 10 maja — na cukier i cukierki. 3 stycznia 1953 roku zniesiono wprawdzie kartki na żywność, ale znacznie podniesiono ceny.

Plan sześcioletni załamał się.

Popelniono błędy przy planowaniu, zbyt optymistycznie założono rozwój rolnictwa, nie licząc się ani z mentalnością polskiego chłopca, jego sytuacją ekonomiczną, ani z warunkami, jakie istniały w Polsce. Wzorowano się bezmyślnie na przykładzie ZSRR, gdzie kolektywizacja — jak się oblicza — pochłonęła około 10 milionów ludzi, którzy zmarli z głodu i chłodu podczas deportacji, a także z chorób i braku warunków do życia w nowych miejscach osiedlenia. Kolchozowa rzeczywistość rysowano w kolorowych barwach, jako jedyną i godną naśladownictwa drogą rozwoju rolnictwa.

Na sytuację gospodarczą Polski wpływ miała też sytuacja międzynarodowa. Mówił o tym Hilary Minc na VIII plenarnym posiedzeniu KC PZPR w październiku 1956 roku.

„Na tym tle — mówił wówczas — poczynając od 1950 r. przede wszystkim w początkach 1951 roku nastąpiły decyzje o znacznym zwiększeniu wydatków obronnych. Mówię tu o decyzjach nieprzewidzianych przez plan”

Polska — jak to wyjaśnił Hilary Minc — była w sytuacji gorszej niż przykład od Czechosłowacji, która miała dobrze rozbudowany przemysł. Polska musiała go budować, rozwijać i doskonalić. Dalej Hilary Minc przyznał, że toczyły się ostre spory z Ministerstwem Obrony Narodowej i Sztabem Generalnym o wielkość nakładów na sprzęt zbrojeniowy.

„Rozbudowa przemysłu zbrojeniowego — mówił Hilary Minc — produkcji zbrojeniowej i sił zbrojnych zabrala „śmietankę” produkcji — szlachetne blachy, łożyska kulkowe, rury, najbardziej precyzyjne maszyny itp., zabrala najwybitniejszych techników i inżynierów i to wpłynęło również na niemożność wykonania planów inwestycyjnych w szeregu gałęzi przemysłu”.

W wyniku tych czynników i innych „nastąpiło bardzo głębokie zachwianie równowagi rynkowej, która mogła być opanowywana tylko sztucznymi sposobami — częściowej reglamentacji”. Było to rzeczywiście — jak się teraz okazuje — sztuczne sposoby, półśrodki, które w warunkach polskich musiały doprowadzić do kryzysu. Stało się to dopiero w 1956 roku.

W 1953 roku rozpoczęto kampanię przedzjazdową, której celem miała być jednocześnie walka z oportunistami i sekciarstwem. Kierownictwo partii oceniło negatywnie dyskusję przedzjazdową i zaleciło wydziałom KC PZPR, aby przystąpiły do jej „upolitycznienia”. Ale nie na wiele to przysłało. Nie pomogły też gwałtownie dokonane zmiany na stanowiskach i sekretarzy komitetów wojewódzkich, co pomóc nie mogło, gdyż było to przesuwanie ludzi z miejsca na miejsce.

W grudniu 1953 roku kierownikiem Wydziału Rolnego KC PZPR został Mieczysław Jagielski. Redaktorem naczelnym „Chłopskiej Drogi” mianowano Macieja Elczewskiego, do 16 grudnia 1953 roku I sekretarza KW PZPR w Koszalinie. W styczniu 1954 roku kierownikiem Wydziału Przemysłu Lekkiego został Mieczysław Marzec, a połączony Wydział Propagandy i Prasy KC PZPR — Jerzy Morawski. Artur Starewicz został sekretarzem CRZZ, Leon Kasman — wiceministrem handlu wewnętrznego.

I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR od grudnia 1952 roku Władysław Małwin został mianowany naczelnym redaktorem „Trybuny Ludu”. Na jego miejsce w Komitecie Warszawskim PZPR przyszedł I sekretarz KW PZPR w Kielcach, Stanisław Pawlak, gdzie pełnił tę funkcję od kwietnia 1951 roku. Na miejsce Macieja Elczewskiego do Koszalina poszedł Józef Rygliszyn — w latach 1950—1951 I sekretarz KW PZPR w Białymstoku. Na miejsce Stanisława Pawlaka do Kielc poszedł Olsztynian Stanisław Krupa, który pełnił tam funkcję I sekretarza KW od marca 1952 roku. W Olsztynie funkcję I sekretarza KW objął Jan Klecha.

Była to karuzela kadrowa.

Dziś — w 1989 roku — mówimy o takim zjawisku w skrócie: „nomenklatura”. Na odpowiednie stanowiska powołuje się ludzi, którzy znaleźli się w tej „nomenklaturze” nie zawsze na skutek kwalifikacji, raczej ze względu na „układy”, zależności, stosunki, uległość, dyspozycyjność i zaufanie, jakie do nich mają ludzie nominacje rozdzielający i wydający polecenia lub rekomendacje.

Jest to zjawisko wysoce niezdrowe i szkodliwe. Zakłada ono bowiem, że raczej przywiązane są nie do osoby, ale stanowiska. Zajmujesz stanowisko, które liczy się w nomenklaturze, masz raczej i kwalifikacje, odchodzisz — najczęściej — z powodu złego stanu zdrowia — na inne stanowisko, to raczej i kwalifikacje pozostają przy stanowisku. Kto je zajmie, to je przejmie.

Pamiętam, w latach sześćdziesiątych kierownikiem Wydziału Propagandy KŁ PZPR był Roman O. Trząś kilka dziedzin życia w mieście. Pewnego dnia odszedł. Został dyrektorem niewielkiej instytucji kulturalnej. Zobaczyłem go kiedyś jak samotnie stał w oknie i bezmyślnie patrzył w dal. Wszyscy, którzy mu się kłaniali, dokładnie zapomnieli o jego istnieniu. W jakiś czas później znalazł wreszcie sobie miejsce w jednym z banków. Dziś jest pewnie na emeryturze. O iluż to innych urzędnikach partyjnych czy administracyjnych dokładnie zapomniano, gdyż nie stanowili indywidualności, jakie mogłyby pozostawić po sobie trwałe ślady. Karuzela kadrowa musiała się jednak kręcić. Kto raz w nią się dostał kręcić się mógł długo i z pożytkiem... dla siebie i rodziny (...).

W grudniu 1953 roku zdarzył się fakt mało istotny. Do Berlina Zachodniego udał się płk Józef Światło i... tam pozostał. Początkowo — jak to było wówczas w zwyczaju — fakt ten utrzymywano w tajemnicy, ale 28 września 1954 roku „Wolna Europa” rozpoczęła nadawanie audycji, w których Józef Światło opowiadał o działalności X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

W grudniu 1953 roku odwołano z Polski szefów Informacji Wojskowej — płk Dymitra Wozniesińskiego i płk Antoniego Kłubaszewskiego.

Rok 1954 rozpoczął się między innymi od ukazania się nowego tygodnika, przeznaczanego przede wszystkim dla młodego czytelnika — „Dookoła świata”. Pismo — jako niebawome atrakcyjne na ówczesne czasy — było urzędowo szeroko reklamowane. Spotkało się też z dużym zainteresowaniem.

20 stycznia 1954 roku nadano Zakładom Metalurgicznym w Nowej Hucie imię Włodzimierza Lenina. 8 marca — produkcję rozpoczęły Zakłady Azotowe w Kędzierzynie. 24 lutego 1954 roku odbyła się premiera filmu „Piątka z ulicy Barskiej” reżyserii Aleksandra Forda według powieści Kazimierza Koźniewskiego.

4 marca odbyła się narada aktywny partyjnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, tematem której była krytyka łamania praworządności.

10 marca 1954 roku rozpoczął obrady w hali AWF na Bielcach II Zjazd PZPR Obecnych na obradach było 1.268 delegatów. Miał to być w życiu PZPR i Polski moment zwrotny. Ale tylko tak się wówczas wydawało. Do prawdziwego zwrotu trzaba było jeszcze długo czekać.

(Fragmenty książki „W cieniu przeszłości” złożonej w łódzkim oddziale KAW).



Fabryka Samochodów Malolitrażowych wybrała politykę rozwoju małymi krokami.

Najpierw były zatem kolejne mutacje modelu 126 aż do modelu Face Lifting, uruchomienie produkcji Bisi i wreszcie kontrakt licencyjny na następcę „malucha” czyli osławionego X 1/79 unowocześniający technikę i technologię w 23 proc. Wszystko to stopniowo pozwalało modernizować fabrykę i przygotowywać do większego kroku.

Przy nie nadmiernych nakładach planujemy zbliżyć się w połowie lat dziewięćdziesiątych do 240—250 tys. sztuk „następcy” rocznie, zaś w późniejszych latach FSM dokonałoby ilościowego skoku o dalszych 100 tys. sztuk, co już oczywiście wiązałoby się z gruntownymi zmianami w fabryce i wielkimi warsztatami — mówili prasie przedstawiciele fabryki. Do pół miliona brakowało ok. 150 tys.

Nieco inaczej przystąpiła do boju żerańska FSO. Fiat 125 od walczywie wielu lat nie modernizowany i nie poprawiany skazano na wygnanie. Postanowiono w taki sposób prowadzić negocjacje o nową licencję, by „złapać” jak najlepszy i jak najnowocześniejszy model samochodu. Wstępne rozmowy prowadzone były z 16 firmami zagranicznymi. Daihatsu, Renault, Seat i Fiat złożyły najkorzystniejsze oferty. W końcu na przetargowym placu zostali tylko Włosi i Japończycy. Fiat przedstawił aż 5 ofert. Dziś w FSO twierdzą, że ta ostatnia była bezprecedensowa. Ponoć ten samochód jest flagowym pojazdem Fiata. Takich wozów wielkie koncerny jak dotąd nie pozbywały się. Co prawda jesteśmy w stosunku do Włochów zadowolonym konkurentem, ale jednak konkurentem.

FSO zamierzała kupić taką licencję, która zapewniłaby bardzo, o wiele większy niż w

cza polityków bardzo surowo. Tak będzie i tym razem. To ludzie bardziej pamiętają, niż sucho brzmiące słowa exposé o „priorytetach w rolnictwie, ekologii i budownictwie mieszkaniowym”.

Hasła Edwarda Gierka i Mieczysława Wilczka mimo pozornych podobieństw, różnią się zasadniczo.

Tamten mówił, że „dla każdego”, a więc tym samym tani, dostępny dla każdej kieszeni. Mieczysław Wilczek koncentruje się na możliwości normalnego kupna, czyli samochody mają czekać w sklepach na swoich klientów, a nawet być na raty. Mogą więc być drogie, czy też bardzo drogie, byleby był normalny rynek samochodowy, byleby zniknęły raz na zawsze anachroniczne systemy przedpłat, asygnat, talonów itp. Edward Gierka chciał rynku samochodowego urządzonego zgodnie z wymogami swojej ideologii („w socjalizmie dajemy ludziom tanie samochody”), ten chce zasad ekonomii na rynku samochodowym. Edwardowi Gierkowi się nie udało, Mieczysław Wilczek jest optymistą.

Upolitycznienie się sprawy samochodu X 1/79 stanowi dla ekipy Mieczysława F. Rakowskiego duże niebezpieczeństwo. Mechanizm zagrożenia jest w naszych warunkach doskonale znany i wielokrotnie sprawdzony. Pamiętając o tym, że ludziom obiecano w krótkim czasie uporządkowanie rynku samochodowego, rząd będzie uważnie baczył, by mieć na tym polu wymierne i widoczne sukcesy. W związku z tym istnieje będzie wśród członków rządu psychologiczna gotowość do szkodliwego wydawania państwowych pieniędzy na ten cel, byleby tylko móc się czymś wykazać. W Polsce była to zawsze dobra okazja, by wyciągnąć ze wspólnej skarbnicy jak najwięcej pieniędzy dla swoich partykularnych interesów. Zabrać się na ten pociąg będzie chciało wielu. Łącznie FSM ma otrzymać od innych zakładów ok. 640

upłynęło zanim udało się stary środek zastąpić nową maścią, przystosowaną do „cywilizacyjnych” wymagań robota. Takich problemów jest tysiące i do każdego potrzeba tegich cwaniaków, szybkich, bystrych i kompetentnych.

— I musimy zdusić inflację — twierdzi minister Mieczysław Wilczek. — Nie umiemy, rząd i społeczeństwo, zachowywać się racjonalnie w inflacji. Potrafimy hamować ceny, ale nie umiemy kontrolować wypływu pieniędzy...

W samochodach widzi on skuteczny środek antyinflacyjny. Jeśli będzie ich na rynku bardzo dużo, to ludzie będą oszczędzać na ich kupno, a kiedy już je kupią, będą ciągle wydawać na części, remonty, benzynę, akcesoria itp. Ponadto przemysł motoryzacyjny jest tym, który w największym stopniu modernizuje i unowocześnia całą gospodarkę. Wymusza postęp. Jest lokomotywą, która ciągnie wszystkie do przodu. Inwestując w przemysł samochodowy na nie spotykają do tej pory w krajach RWPG skalę wchodzący na przetartą już przez innych drogę cywilizacyjną.

Kontrakt na X 1/79 był największym kontraktem kooperacyjnym w polskim przemyśle. Włoska gazeta „La Stampa” nazwała go „małym kontraktem”, donosząc po jego zawarciu, że jest to największa umowa tego typu wśród zawartych przez Fiata. Obecnie po dołączeniu kontraktu FSO, będzie to „gigant kontrakt”.

X 1/79 będzie produkowany w dwóch wersjach — żerańskiej i bielskiej. Stopień unifikacji obydwu modeli wynosił będzie ok. 90 proc. Pierwsze nowe samochody mają zjechać z taśmy w połowie 1991 roku. Pełna zdolność produkcyjna ma być osiągnięta za 6 lat. Inwestycje prowadzone są w 14 na 20 zakładach produkcyjnych FSM. Plany inwestycyjne FSO dopiero są opracowywane i ich ostateczny kształt zależeć będzie od wyników styczniowej wizyty ministra Mieczysława Wilczka we Włoszech.

X1/79 jest samochodem malolitrażowym.

Większy od Fiata 126 p, dłuższy, szerszy i wyższy. 5-osobowy. Przewidywane są wozy trzy- i pięciodrzwiowe. Będzie posiadał lepsze własności dynamiczne od Fiata 126 p. Silnik leżący, 700 cm sześć, chłodzony cieczą, umieszczony z przodu, zgodnie z najnowszymi tendencjami, co umożliwi przygotowanie różnych wersji i zmiany tyłu karoserii. Jednocześnie ma to być wóz lżejszy, a materiałochłonność jego produkcji o 17 proc. niższa. Będzie szybszy od „malucha” i dużo bardziej oszczędny pod względem zużycia paliwa. Ma palić 3,5 — 4 litry benzyny na 100 kilometrów. Napęd na przednie koła. Moc około 30 KM. Następca malucha będzie ponoć sylwetką przypominał najnowszy model „Lancii”. Współczynnik oporu powietrza wynosił będzie 0,30—0,35, podczas gdy obecnie produkowany Fiat 126 p ma 0,50. W momencie podpisywania licencji szacowano, że jeśli podaż przekroczy popyt, a place będą rosły w dotychczasowym tempie, to być może już za 24-miesięczną średnią pensję będziemy mogli się stać właścicielami X 1/79.

Ocenia się, że nowy samochód będzie „żył” około 10 lat. Po tym okresie powinien być już zastąpiony kolejnym modelem. Stratedzy FSM, którzy w obecnej sytuacji najprawdopodobniej przejmą całkowitą odpowiedzialność za dalsze losy polskiego przemysłu samochodowego, pomyśleli już wcześniej o takiej sytuacji. Niezależnie od możliwości kupienia za 10 lat kolejnej licencji postanowili traktować swoją własną konstrukcję — „Beskid” — jako samochód znajdujący się w produkcji.

— Jest bowiem zasadniczą różnicą między prototypem jakiegokolwiek pojazdu, a jeżdżącym po drogach samochodem — komentuje rzeczniczkę FSM.

„Beskid” więc żyje. Nie odłożono go na półkę. Jest to ładne i funkcjonalne, nowoczesne auto malolitrażowe, jeżdżące próbnie w kilkunastu egzemplarzach. Wzbudza na ulicach Bielska Olbrzymie zainteresowanie. Osrodek Badawczo-Rozwojowy FSM będzie cały czas modernizował i unowocześniał to auto. Wszystkie prace mają być prowadzone w ten sposób, że gdyby powstały sprzyjające warunki, to można byłoby projekt produkcji „Beskida” natychmiast zrealizować.

Po spektakularnej decyzji ministra Mieczysława Wilczka pojawiły się głosy, że udało mu się zrobić, czy też po prostu mocno uderzył w loby przemysłu samochodowego w Polsce. Minister temu zaprzecza. Po części ma rację. On jedynie umożliwił zwycięstwo jednemu z dwóch loby tego przemysłu. Lobby FSM wyszła ze startu zwycięsko. Spektakularność polega jedynie na tym, że przegrała ta grupa nacisku, która miała siedzibę w Warszawie. Zwrócić uwagę, że podobną decyzję można było podjąć kilka lat wcześniej. Wszak FSO szukała licencji przez ponad 5 lat! Ba, można było taką operację przeprowadzić jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy z roku na rok Fiat 125 p stawał się coraz bardziej przestarzałym modelem.

To spóźnienie odkrycia w znacznym stopniu rolę i sposób działania poszczególnych grup nacisku w naszym kraju. One pilnie baczą, by odpowiedzialne stanowiska w centralnych urzędach obstarzywały swoimi ludźmi. System awansów i dochodzenia do kluczowych stanowisk wiązał na wiele lat ze „swoją” branżą, „swoją” grupą. Warszawskie grupy mają w tym względzie ułatwione zadanie i poprzez to silniejszą pozycję od kontrahentów. Odważnie i zaskakujące posunięcie premiera Mieczysława F. Rakowskiego, który stanowisko ministra przemysłu obsadził człowiekiem „spoza układu”, w dodatku niezależnego finansowo (w polskich warunkach ma to niebagatelne znaczenie) spowodowało zachwianie względnej równowagi sił. W tych warunkach i tylko w tych warunkach możliwymi stały się rzeczy dotychczas niewyobrażalne — likwidacja stożni, nielimitowane dostawy węgla dla indywidualnych odbiorców, zniesienie kartek na benzynę i asygnat czy też zmuszenie dwóch fabryk samochodów, by produkowały jeden model w długiej serii. Upadek dyrektora FSO Edwarda Pietrzaka ma w tym kontekście symboliczne znaczenie. Czekamy na następnych.

MIROSLAW KULIS

Pluralizm w praktyce

Zielona alternatywa

10 grudnia 1988 roku w Krakowie odbył się kongres założycielski polskich zielonych.

— Nie chodziło nam o tworzenie kolejnego klubu, czy stowarzyszenia ekologicznego — mówią jego uczestnicy — gdyż istnieje już takich w Polsce wiele. Niestety, ich dotychczasowe działania, a przede wszystkim możliwości są, naszym zdaniem, dalece niewystarczające i dlatego doszliśmy do wniosku, iż potrzebna jest własna partia, a zatem organizacja, której członkowie mogliby współuczestniczyć w sprawowaniu władzy.

Czy to możliwe? Zieloni twierdzą, że tak. Więcej! Uważają, że to konieczne, ponieważ — jak piszą w swym manifestie —

„Przynajmniej od połowy lat siedemdziesiątych Polska znajduje się w stanie kryzysu ekologicznego, który osiągnął już katastrofalne rozmiary...”, zaś z drugiej strony „mieszkańcy miast i wsi muszą mieć prawo do samodecydowania o kształcie swojego otoczenia”; choć równocześnie przyznają, że manifest zielonych prezentuje ich cele, zadania i metody działania.

Wspomniany już manifest Zielonych prezentuje ich cele, zamierzenia i metody działania.

„Nasz program — czytamy w nim — opiera się na poszukiwaniu jedności i harmonii człowieka z przyrodą oraz człowieka z innymi ludźmi. Za najwyższą wartość uznajemy życie wszystkich istot i to, co stanowi o ich biologicznym, psychicznym i społecznym rozwoju oraz pomysłowości. Wszystko, co temu zagraża, będzie obiektem naszego protestu i oporu.”

I dalej:

„Jesteśmy za systemem gospodarczym zorientowanym na potrzeby żyjących dzisiaj ludzi oraz przyszłych pokoleń, na zachowanie przyrody, dziedzictwa kulturowego, na oszczędność bogactw naturalnych. Przy podejmowaniu decyzji gospodarczych muszą być uwzględniane koszty społeczne i ekologiczne. (...) Polityka niekoniecznie musi być walką o władzę. Polityka, to także przestrzeń między nami, którą można wypełnić wspólnym działaniem.”

„Opowiadamy się za zapewnieniem równych praw wszystkim obywatelom do nieskrępowanej działalności politycznej, społecznej i ekonomicznej, bez względu na podział światopoglądowy. (...) Uważamy, że wobec rażącego lekceważenia woli społeczeństwa każdy ma prawo do demonstrowania swoich przekonań i do oporu wobec niesusznych decyzji. Opór ten nie może jednak wiązać się ze stosowaniem przemocy.”

Jak łatwo zauważyć, powstanie zielonych jest reakcją na niedowład organizacyjny i gospodarczy w minionych latach, na lekceważenie stanu środowiska, na woluntarystyczne poczynania władz administracyjnych i politycznych różnych szczebli, na brak społecznej kontroli tych poczynania. Jest też przejawem ogarniającego liczne kręgi społeczeństwa kryzysu zaufania do obowiązującego w Polsce od ponad czterdziestu lat systemu sprawowania władzy. I właściwie trudno się temu dziwić. Prawdą jest bowiem, że potrafilimy stworzyć piękne często programy, między innymi w dziedzinie ochrony środowiska, ale nie potrafiliśmy doprowadzić do ich realizacji. Między teorią a praktyką rozciągała się ogromna przepaść, nad którą nie udało się jakoś do tej pory przetrząść mostu.

Zieloni nie chcą obalać ustroju, wnieść rewolucji, dezorganizować polskiej gospodarki ani siłą niepokoić. Chcą współdziałać ze wszystkim konstruktywnymi ruchami społecznymi i politycznymi. Ale przede wszystkim chcą mówić własnym głosem. Dlatego opowiadają się za demokratyzacją życia w Polsce. Widzą dla siebie miejsce w radach narodowych i Sejmie, mówią o dostępie do środków masowej komunikacji.

Przyznają sami, iż mają dopiero kilka tysięcy członków i sympatyków, brak im większego doświadczenia politycznego i wypracowanych metod działania. Będą musieli się ich dopiero nauczyć. Na razie więc zamierzają skupić się na wytworzeniu atmosfery, którą nazywają proekologiczną, przy czym wyjaśniają, iż „ekologia nie jest dla nas wyłącznie zbiorem problemów związanych z degradacją środowiska, ale sposobem patrzenia na świat, myślenia, wreszcie stylem życia”. Stąd w ich programie również sprawy budownictwa mieszkaniowego, zaopatrzenia rynku w dobrej jakości żywności, wydajnego i pozostającego w harmonii z przyrodą rolnictwa, sprawy wypoczynku i kultury.

28 grudnia 1988 roku odbyła się w Łodzi konferencja regionalna członków-założycieli zielonych, na której „ukonstytuował się 5-cio osobowy Zarząd (...)”, przyjęto podstawowe dokumenty (...) oraz określono zasięg działalności terytorialnej Regionu Łódzkiego, obejmując województwa: m. łódzkie, płockie, skierniewickie, piotrkowskie i sieradzkie. Określono najpilniejsze zadania...”

Jak poinformowała 22 stycznia 1989 r. na konferencji prasowej Elżbieta Hibner — rzeczniczka Zarządu Regionu Łódzkiego, w pierwszej kolejności Zieloni w naszym mieście chcą zająć się całokształtem spraw związanych z budową i funkcjonowaniem Grupy Oczyszczalni Ścieków, optymalizacją zużycia wody w łódzkim przemyśle oraz problemem odpadów komunalnych i przemysłowych, z którym władze nie bardzo potrafią sobie poradzić.

P. T.

Bielska FSM wyszła na prostą

przypadku FSM, duży skok jakościowy i technologiczny fabryce. Jednocześnie uzyskano by taki wóz, który mógłby być wyzwaniem dla wielu renomowanych firm zachodnich. Zakładano, że obecne warunki zaopatrzeniowe i surowcowe nie pozwalają na gwałtowny wzrost produkcji. W latach 1993—95 produkowano by 120 tys. samochodów rocznie, wraz z modernizowanym „Polonezem” ok. 200 tys. Pod koniec wieku niewykluczono, przy dobrej aurze w naszej gospodarce, podniesienie produkcji o kolejne 100 tys. sztuk. Dalsze 200 tys. mogłyby przynieść dopiero pierwsze lata XXI wieku. Była to więc koncepcja z jednej strony ambitna (supernowoczesny samochód) a z drugiej realistyczna (nie stać nas na wielką produkcję). Ponadto przyjmowała milcząco założenie, że finansowanie takiego programu rozwoju może następować tylko poprzez samospłatę, gdyż w tak biednym kraju jak Polska, nigdy się nie znajdują dewizy na takie inwestycje.

Już dziś można powiedzieć jedno — wielki skok Żeraniowi nie udało się. Taki skok — zupełnie nieoczekiwanie dla niej wyszedł FSM.

Fabryka rozpatruje w tej chwili w szczególności taki wariant rozwoju, by do 1995 roku osiągnąć produkcję 400 tys. samochodów rocznie. Przy wcześniejszej zakładanej wielkości — 260 tys. — jest to olbrzymi wzrost — twierdzi z zadowoleniem rzeczniczkę prasową FSM Marek Rzempiel. Innymi słowy jeszcze w połowie lat dziewięćdziesiątych fabryka znalazłaby się blisko upragnionej półmilionowej granicy samochodów rocznie. Do tego by stać się gigantem na skalę europejską, zostając kilka kroków...

Minister Mieczysław Wilczek przychylił się do bielskiej koncepcji rozwoju przemysłu samochodowego w Polsce z wielu powodów. Min. dlatego, że FSM okazała się trafioną koncepcją. Ekipa Edwarda Gierka może sobie kontrakt z Fiatem z całkowitym spokojem sumienia zaliczyć na plus. To właśnie „maluch” w znacznym stopniu zmotoryzował kraj. Inwestycja bardzo szybko, przed terminem, spłaciła się poprzez eksport. Wybudowana w latach siedemdziesiątych fabryka jest kapitałem, który się nie zmarnował.

Decyzje te inaczej ustawiały priorytety rządu Mieczysława F. Rakowskiego zapowiadane przez premiera w chwili formowania gabinetu. Rząd miał się skoncentrować na trzech kierunkach: rolnictwie, budownictwie mieszkaniowym i problemach ochrony środowiska. Tymczasem, poprzez nieparafowanie jednego za ledwie dokumentu, minister przemysłu Mieczysław Wilczek wpisał przemysł motoryzacyjny na tę krótką listę priorytetów. Stało się to zapewne za pełną aprobatą premiera. Jeśli tak, to wygląda na to, że ekipa Mieczysława F. Rakowskiego w chwili obejmowania foteli nie w pełni miała przemysłowy obraz dalszych posunięć. Dopiero teraz, w „biegu” dokonuje korekt i uzupełnień swojego planu gospodarczego. W chwili obecnej nie ma w tym nic złego, gdyż lepiej wcześniej niż później dokonywać takich zabiegów.

Ponadto decyzja ministra Mieczysława Wilczka pociąga za sobą dalsze. Wyraźnie przeciwieństwo, że dewizowe inwestycje w przemyśle samochodowym spiąć się innymi wyrobami.

Naszą specjalnością eksportową może być coś innego — twierdzi minister przemysłu. W krótkim czasie musi być rozstrzygnięty i ten problem, by cały plan mógł się udać. Skoro zaś ma być inna specjalność eksportowa, to i kolejny priorytet.

Sprawa ma też swój polityczny wydźwięk. Nic nie umając ambitnemu i dynamicznemu ministrowi Mieczysławowi Wilczkowi, epatuje nas on tymi samymi hasłami, które formułował Edward Gierka. Fiat 126 p miał być „samochodem dla każdej polskiej rodziny”, a gdy tak się nie stało, było to jednym z powodów upadku. Z takich hasel opinia społeczna rozli-

różnych części, z których montowany będzie nowy „maluch”. Pół biedy, jeśli taki kontrahent pracuje wyłącznie na potrzeby FSM czy Żerania. Rozpatrzmy inną sytuację.

Wyobraźmy sobie fabrykę, która jedną działającą produkcją przeznaczoną dla nowego samochodu. Teraz trzeba znacznie zwiększyć swoje zdolności produkcyjne. Na tę strefę środków finansowych nie zabraknie. Jakież to wspaniały moment, by przy sposobności doposażyć inne wydziały, by poprawić swoją sytuację w pozostałych działach wytwarzania. Nagina się więc swoje potrzeby, przekonuje urzędników, że bez tego czy tamtego „nie wywiążemy się z przyjętych zobowiązań”. W rezultacie rząd zmuszony jest wydawać więcej pieniędzy niż to pierwotnie zakładał. Ileż to razy takie propagandowe projekty stawały się dla władz centralnych przysłowiową beczką bez dna.

Jeśli więc rząd nie okaże się wobec takich postaw bezwzględny, wpadnie w pułapkę, którą mimowolnie sam na siebie zastawia. Polskiemu przemysłowi w dalszym ciągu obca jest własna przedsiębiorczość. Tych ludzi interesuje bardziej sposób, w jaki można by „kwiwać” ministra finansów i ministra przemysłu niż, co zrobić, by produkować więcej, lepiej i taniej.

Upajamy się ostatnio sukcesami przemysłu motoryzacyjnego na rynku chińskim — zwraca się jeden z polskich dziennikarzy do swojego rozmówcy, człowieka przemysłu.

Tak, Chiny to wielki i chłonny rynek — odpowiada zagadnięty. — Choć teraz Chińczycy przeżywają pewne trudności, to myślę, że Polska mogłaby osiągnąć sprzedaż 100 tys. samochodów rocznie...

— Ależ wtedy nic nie zostałoby dla nas — wykrzykuje reporter.

— To nic prostszego jak podwoić produkcję — twierdzi spokojnie człowiek przemysłu.

Przytoczony fragment rozmowy jest jak najbardziej autentyczny, tyle tylko, że tych słów nie wypowiedział zdymisjonowany obecnie dyrektor FSO Edward Pietrzak, lecz Hideo Kamio, wiceprezydent koncernu TOYOTA MOTOR CORPORATION, wizytujący przed dwoma laty Polskę. Nasz „przemysłowiec” stwierdził w grudniu 1988 roku, że podwojenie produkcji samochodów w Polsce „nie może się udać”. Czy trzeba co jeszcze do tego dodawać?

Japończycy na wytworzenie jednego samochodu używają 12 godzin pracy, Amerykanie 28 godzin, producenci Europy Zachodniej 39 godzin. Jeśli usterki japońskich samochodów uznać za 1, to włoski Fiat oceniany jest na 2, wyrobę FSO 2,8, zaś FSM — 3,86 (dane za dyrekcję FSO). Mazda przy produkcji o połowę mniejszej niż Peugeot inwestuje na badania tyle samo ile fabryka francuska. Japończycy zmieniają modele średnio po wyprodukowaniu 500 tys. sztuk. W Europie ta liczba sięga 2 milionów — wskazują fachowcy na dynamizm firm japońskich, które według wszelkich prognoz już niedługo rzucą na kolana zachodnioeuropejskich i amerykańskich producentów. Gdybyż tak to w tej sprawie mogło zatrumfować polskie cwaniactwo!

Przed kilkoma laty postanowiono w FSO zastąpić pracę dwóch ludzi robotem.

Było to stanowisko zdejmowania arkuszy blach, które ułożone w stosy dostarczała jedna z hut. Praca była na trzy zmiany, a więc jeden robot miał w sumie wyeliminować 6 ludzi. Maszyny zakupiono na Zachodzie, wszystko przygotowano, robota ruszyła. Już po kilku dniach okazało się, że trzeba do automatów z powrotem postawić jednego człowieka wyposażonego w zwykłą ściereczkę, którą przecierałby każdy z arkuszy blachy przed złapaniem go przez robot. Huta smarowała blachę środkiem konserwującym, który powodował sklejanie się arkuszy. Czujniki robota ustawicznie myliły się łapiąc raz jednego arkusza, innym razem kilka sztuk. Kilkanaście miesięcy

Czy znajdzie się ktoś, kto doceni zapal, wysilek i zdolności szlacheckich zapalcieców — czyli pamflet na kulturalną Łódź.

Łódź biednieje — materialnie i intelektualnie

MAREK KOPROWSKI

Ledwie przed kilkoma tygodniami pisaliśmy w „Odgłosach” o dynamicznie rozwijającej się działalności artystycznej piwnicy „W Piwnicy” przy Centrum Informacji Kulturalnej w Łodzi, a już dowiadujemy się o likwidacji cyklu cieszącego się największym powodzeniem w publiczności pt. „Siódz nam tę Łódź”. Tytuł cyklu jest jednocześnie tytułem piosenki autorstwa Elżbiety Adamiak i Andrzeja Poniedziałkiego, sympatycznych gospodarzy comiesięcznych spotkań ze znanymi artystami wykonującymi piosenkę kabaretową, aktorską, poetycką. Wystąpili już w tym cyklu sami gospodarze, a następnie: Tadeusz Woźniak, Elżbieta Wojnowska i Dorota Stallińska. Byliśmy na wszystkich spotkaniach, wiemy więc, że społeczeństwo tłumnie wypełnia salę, mimo dość drogiego biletu. Zdecydowaną większość widzów stanowią młodzież w wieku przed- i poborowym, spośród nich zaczyna się tworzyć stała publiczność „Piwnicy”.

Ledwie coś dobrego się zaczyna, a już trzeba rzecz likwidować zasłaniając się — w tym wypadku — brakiem pieniędzy. Ogłosiła tę smutną wiadomość Elżbieta Adamiak kończąc recital Doroty Stallińskiej. Chcieli nam siódz tę Łódź, a miasto tak im się wrednie odpiła. Nad salą przeleciał pomruk niezadowolona, rozczarowania i złości. A plany na najbliższą przyszłość są tak apetyczne: Andrzej Zaucha, Ewa Bem, Marek Grechuta i grupa „Pod Budą”. Wszyscy artyści wyrazili już zgodę i powpisywali terminy w swoje kalendarze imprez. A tu taki paszet...

Nazajutrz przeczytaliśmy ze zdumieniem w „Dzienniku Łódzkim” (z 5.01.1989 r.) wypowiedź Zbigniewa Chablewskiego, dyrektora Centrum Informacji Kulturalnej, której fragment brzmi:

„Dopracowaliśmy się stałego cyklu imprez — „Siódz nam tę Łódź”, prezentacji wideosztuki...” itd.

I ani słowa o zaniechaniu którejśkolwiek z imprez. Dowiedzieliśmy się jednak, że dyrektor jest chory i nie bywa w pracy. Czyżby więc ktoś inny podjął taką decyzję bez porozumienia ze swym szefem? I szczerze mu byśmy życzyli, aby wykorzystując sytuację? Wiadomo, że wypowiedź dyrektora gazeta uzyskała wcześniej, ale decyzji takich nie podejmuje się przecież w jednej minucie. Tym bardziej, że cykl imprez śpiewanych odniósł duży sukces i nie rokuje zmian na gorsze. Czyżby rzeczywiście nie było 40 tys. zł dla Ewy Bem? Nie wierzę!

I to w sytuacji, gdy sprowadza się do Łodzi kiczowaty, wywołujący zażenowanie, kompromitujący inicjatorów Gabinet Figur Woskowych? Sprytny Szwajcar, niejaki Jean Rezzonico — „wytruli” w Polsce złoty interes — nie przyjechał przecież jako dar narodu szwajcarskiego — i kosć z pewnością grube pieniądze z frajerskiej taktyki głupoty. Wzorować się musiał na Marino Marini, przyjeżdżającym przed laty szóstej klasy piosenkarzu włoskim, zupełnie nie znanym w swojej ojczyźnie, który napychał sobie pieniędzmi kieszenie w naszym kraju. W przypadku gabinetu woskowych potworków, o ironio! jednym z inicjatorów przyjazdu tego curiosum do Łodzi był Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury (!!!) Urzędu Dzielnicy Łódź—Śródmieście. Na takie banialuki są pieniądze, a najlepszych polskich wykonawców już nie ma za co gościć w Łodzi!

Odowiedział nasze miasto zasuszone wieloryb, kolejna atrakcja z kolekcji przedsiębiorczego Szwajcara, który uparł się, by dokształcić zafascynanych Polaków i dba gorąco, byśmy przynajmniej w dziedzinie cudów i dziwactw nie odstawiali od cywilizowanego świata. I słusznie: bo co to za Europejczyk, co nie widział wieloryba? Ciekawe, czy inicjatorem tego ważnego wydarzenia kulturalnego jest również wymieniony wyżej wydział? I może z tego między innymi powodu zabrakło forsy na działalność „Piwnicy”?

W muzeum figur woskowych jeden boks był pusty, z przeznaczeniem dla jakiegoś wielkiego Polaka, wybranego metodą powszechnego głosowania. Odwiedzający mieli zgłaszać propozycje. Moja jest taka: trzeba tam postawić figury ludzi, którzy podjęli decyzję o sprowadzeniu do Polski za cieżkie pieniądze międzynarodowej koiny z dobrego smaku i gustu. Ich miejsce jest w takim panopticonie, a nie na odpowiedzialnych — bądź co bądź — stanowiskach. Niech świeca sztucznymi gałkami ocznymi przed międzynarodową gawiedzią, miast wydawać decyzje dotyczące oświaty, wychowania i kultury. Znajac już smak i gust urzędników nie dziwnym się wyśmiałemu lotowi reprezentowanych przez nich dziedzin naszego życia. A poważne propozycje idiotów, by w tej obłudowej budle postawić figury napieża lub Józefa Piłsudskiego są obelżywe dla wymienionych postaci.

Dowiedzieliśmy się również, że Janusz Urbanik, wiceprezydent Łodzi zajmujący się sprawami kultury i sztuki, b.r.dzo działalność „Piwnicy” pobiera. Coś tu jest nie tak. Jeden z ołów miasta popiera, a któryś z jego podwładnych decyduje zupełnie odwrotnie? Co to znaczy?

Wróćmy jeszcze na chwilę do pieniędzy. Nie tak dawno odbyły się w Łodzi „Prezentacje Artystyczne” Estrada '88. Jednym ze sponsorów tej kosztownej imprezy był Urząd Miasta Łódź, jako gospodarz, wystąpiła z pożyczki: zastaw się, a postaw się. Było hucznie i bogato. Nie kwestionując potrzeby zorganizowania tego przeglądu, widzieliśmy możliwość oszczędniejszego wariantu organizacyjnego. Skrócenie 6-dniowej imprezy o jeden dzień pozwoliłoby zaoszczędzić

sumę, za którą „Piwnica” na przykład utrzymałaby się spokojnie przez rok.

Na spotkaniu z władzami miasta u prezydenta Jarosława Pietrzyka, z okazji powrotu Teatru Wielkiego z tournée, powiedziano m.in.:

„...władze miasta zgodnie potwierdziły, że na wartościowe poczynania i działania dobrze służące sztuce i kulturze finansów zabraknąć nie powinno”.

Wydaje mi się, że to, co proponuje „Piwnica” wypełnia w całości znaczenie słowa „wartościowe”. Możemy się różnić w ocenach i gustach z zawiadowcami kultury (i w pewnie się różnimy), lecz nie sądzę, by nawet dla nich sużony wieloryb i kiczowate mumie były bardziej wartościowe niż programy artystyczne Doroty Stallińskiej czy Marka Grechuty.

Na innym posiedzeniu z udziałem władz kulturalnych powiedziano, że „wychowanie młodego pokolenia w kontakcie ze sztuką jest «oczklem w głowie» władz kulturalnych miasta”. Zważywszy, że 90 proc. publiczności „Piwnicy” stanowi właśnie młode pokolenie, przypominamy ową deklarację. Jak się coś mówi, to trzeba pamiętać co, bo inni przypominają, tym bardziej, że wypowiedzi publikuje prasa, a nie każdy zużywa gazety dla potrzeb higieniczno-gospodarczych zaraz po przeczytaniu Tyle pięknych, kolorowych słów i deklaracji usłyszeliśmy przez dziesięciolecie, a dookoła coraz bardziej szaro i brzydko. Urzędnik nie poeta — słowami nie wypieknij rzeczywistości. Czas by się z różnych obietnic zacząć wywiązywać.

Łódź biednieje. Materialnie i intelektualnie. Dawno już przestała być — jak kiedyś — ważnym ośrodkiem kulturalnym. Nie ma filharmonii, ubywa kin, a repertuar pozostałych „obsługuje” najmniej wybredną publiczność. Teatry notują najniższy od lat poziom artystyczny, na estradach bez zmian na lepsze, sale wystawowe świecą niezadepantanym parkietem. Środowisko plastyczne jest podzielone i skłócone, literaci starzeją się i umierają (ostatnio Leon Gomoliczki i Władysław Orłowski), a nikt na ich miejsce do ZLP nie przychodzi, nie słychać muzyków, wytrwoni filmowe są, ale jakby ich nie było — miasto nie ma z ich tutaj istnienia. Wylicza dalej? Zlikwidowano Stowarzyszenie Twórców Kultury i Ośrodek Działalności Twórczej — miejsca spotkań młodych i najmłodszych artystów. Widmo likwidacji wisi nad Studium Opracowań Filmów.

Artyści i ludzie kultury emigrują z Łodzi, albo tutaj tylko mieszkają, a działają w innych ośrodkach. Miasto nie kusí ich żadnymi atrakcyjnymi propozycjami, jakby nie miało lub nie chciało mieć silnych kart przetargowych. Istnieje Teatr Studyjny, Galeria Wschodniej czy PSEP-u, to za mało jak na milionowe miasto, tym bardziej, że władze zezem patrzą na wymienione placówki, choć są one przykładem działalności pozytywnej. Ulice są szare, ludzie też. Ważą się balkony i gzymsy, syplą zabytkowe (i nie tylko) budynki, nie ma dobrych restauracji z kulturalną obsługą. Młode pokolenie rośnie ogłoszone muzyką disco i zgiełkiem grających automatów. Wideo i komputery zamieniają uczyć — ogłupiają. Szkoły są biedne, poziom ich niski. Trwa wyścig o rzeczy i pieniądze, szerzy się chamstwo, wygrywa cwaniactwo i tupeć. Ludzie nie czytają. Ubywa bibliotek. Książki coraz droższe. Widownie teatralne pustoszeją. Ludzie zamykają się w domach, telewizyjna siećka wypełnia coraz więcej głów, wypierając stamtąd resztki mózgu. Coraz dłuższe kolejki ustawiają się przed sklepami z wódką nie tylko na cześć zbliżających się świąt. W dzień powszedni także, co stało się już łódką śniegalnicą. Kto do tego doprowadził? Ile lat, ile pokoleń minie nim uda się wrócić do normalności? Czy jest to w ogóle możliwe?

Krajobraz jak po trzęsieniu ziemi. I nagle, na tym rumowisku wartości zakwitnął chęć szlacheckich kwiat. Jest słaby, potrzebuje pomocy, pielęgnacji. Przychodzi zarządca tych ziem. Przygląda się roślinie ze zdumieniem i niedowierzaniem. Bierze konewkę i odchodzi. Będzie podlewał osty i pokrzywy pod płotem. Kwiat zwiednie.

Czy znajdzie się ktoś, kto doceni zapal, wysilek i zdolności szlacheckich szalcieców (jak się okazuje) z CIK-owskiej „Piwnicy” i pomoże im przetrwać w Łodzi? Bo mogą oni sprzedać swój program natychmiast, na pniu, w Tomaszowie Mazowieckim na przykład. Tam pieniądza są. Oni upodobałi sobie jednak Łódź. Szkoda że bez wzajemności.

Nie raz słyszałem zapewnienia przedstawicieli władz miasta, jakoby twierdzenie, iż Łódź jest trudnym miejscem dla kultury, to wymysł malkontentów i wiecej niezadowolonych dziennikarzy (niektórych). Ze tak naprawdę, to wcale nie jest źle, choć specyfika... Śledząc jednak posunięcia i sukcesy tychże przedstawicieli jestem zdania przeciwnego. To nie miasto jest trudne. Najnowszy przykładem sytuacja „Piwnicy”. Jeśli tego miejsca nie da się uratować dla kultury, nie wierzę, że w Łodzi warto jeszcze o cokolwiek wytrwać flaki. I wtedy pójdę handlować pod „Pewex”.

ze str. 1

— Na przykład, ile?

— Na przykład 30 tysięcy złotych. To chyba niedużo, biorąc pod uwagę, iż wódeczka na średniej wielkości weselu kosztuje z pół miliona, a obrączki pewnie z 200 tysięcy złotych. I niech mi pan nie o powiada truzimów, iż to młodzi „bije” po kieszeni; przecież i tak płacą zawsze rodzice.

— Dlaczego więc zmieniona ustawa o opłatach skarbowych nie weszła w życie równoległe z tak przez pana chwaloną „konstytucją” gospodarczą?

— Z tego, co wiem, obecny minister finansów robił wszystko by już obowiązywała ale Sejm wdał się w szczegóły i dyskusje, a efekt jest jaki jest: tracimy każdego dnia miliony. Ale w tym rewolucyjnym u-praszczaniu, a zwłaszcza w tłumaczeniu wielu nowin jest też sporo waszej, czyli tak zwanych mass mediów winy.

— O przepraszam, tu już

się do nas i wybrać formę, w jakiej chce płacić podatki.

— A jeśli tego nie uczynił?

— My wybierzemy mu formę opłacania podatku, która może być dla niego najmniej korzystną. A ludzie o tym nie wiedzą! Prosty przykład: tylko do 10 stycznia łódzkie urzędy przyjęły ponad 3,5 tysiąca zgłoszeń o wpis do ewidencji, a u nas obowiązek podatkowy zgłosiło nawet nie dziesięć procent z nich.

— Zapewne posypią się ka-

ry... — Nie, jeszcze nie, na razie zalecamy by ludzi nie karać, bo są przecież niezorientowani, niedoinformowani.

— W urzędach skarbowych też się pewnie niczego nie dowiedzą?

— Nieprawda. U nas się najmniej zmieniło. A jeśli nawet jakaś referentka nie potrafi wyjaśnić zawiłych bar-dziej szczegółów — można zawsze poprosić o pomoc kiegożś pracownika czy naczelnika.

— Przypomnijmy jednak, by

znów nie było problemów i

zdaniem przyjdzie czekać?

— Rok, może dwa lata, z pewnością nie mniej. Aha, mówiliśmy o zmianach już obowiązujących, a nie wspomnieliśmy, iż od stycznia 1989 r. górna granica podatku dochodowego opłacanego przez osoby fizyczne wynosi maksymalnie 50 procent dochodu rocznego (dotychczas — 75 procent).

— Od 1 stycznia dziesiątki tysięcy osób w całym kraju zgłosiło uruchomienie jakiejś działalności gospodarczej. Przybyło „Rockefellerów” czy marzycieli?

— Raczej tych drugich. Dziś by otworzył interes już trzeba mieć miliony. Ileż milionów kosztują dziś maszyny i surowce. A jeśli nie starcza choćby surowców we włókienniczej Łodzi (patrz — „stacze”) dla istniejących zakładów, to wystarczy ma jeszcze dla tych nowo powstałych? Ano, zobaczmy, wszystko się kręci wokół pieniądza: „Masz kapitał — jesteś wolnym człowiekiem”.

— Przetawić musimy także

Przybyło marzycieli...?

bez szczegółowych wyjaśnień się nie obejdzie...

— A jak inaczej nazwać to wasze codzienne trąbanie o złotej, niemalże heglowskiej wolności, o możliwości otwierania wszelakich interesów bez biurokratycznej oteczki.

— Zaraz, zaraz, czyż to nie-

prawda?!

— Prawda, ale nie dopowiadacie jej do końca. Wszędzie na Zachodzie, gdy otwiera się jakikolwiek biznes zadają człowiekowi trzy pytania: Czy ma kapitał? Czy dysponuje siedzibą? I bardzo ważne: Czy zna pan przepisy orawa? Dlaczego nie napiszecie że u nas tego trzeciego pytania nikt nie zadaje i to natychmiast rodzi określone konsekwencje.

— Sugeruje pan, iż niesymp-

patyczne...

— Oczywiście. Otwiera człowiek, czyli — zgłasza uruchomienie jakiejś działalności i nie musi biegać z kwestionariuszami i zbierać nikomu niepotrzebne opinie, ale musi powtarzać — musi znać przepisy dotyczące bezpieczeństwa pracy, ochrony środowiska, przepisy budowlane, sanitarne i inne. To wy powinniście wytłumaczyć, że może się zdarzyć, iż ktoś otworzy piekarnię, a za dwa dni zjawi się „sanepid” i mu ją zamknie.

— Albo strażacy, jeśli powiemy na „Manhattanie” ustawili na dziesiątym pięttrze to-

karke...

— Choćby. W urzędach ludziska machają przed nosem urzędników wycinając z gazet, uważając, że im wszystko wolno. A zasady omawianej ustawy trzeba ludziom wyjaśnić, niechże pamiętają, że osoba zakładająca firmę nie musi mieć kwalifikacji, musi jednak jej mieć osoba wykonująca na przykład usługi szewskie. Istnieją również pewne obowiązki wobec organu skarbowego.

— A i tu jest „pies pogrzebany”. Niezależnie od zgłoszenia w urzędzie trzeba i wam składać wizyty?

— We własnym, naprawdę własnym interesie. Niezależnie od wciągnięcia do ewidencji w urzędzie — powinien zgłosić

zrucania winy na dziennikarzy, najistotniejsze zmiany dotyczące podatków i podatników.

— Nie ma już tak zwanej opłaty z tytułu wykonywania rzemiosła, w jej miejsce obowiązują karta podatkowa. Zmieniły się warunki i wysokości podatku. Na przykład ryczałt ewidencjonowany przysługuje osobom których zarobki nie przekroczy sześciokrotnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej za rok ubiegły. Na dziś jest to kwota 3 miliony 600 tysięcy złotych.

— Rocznie? Toż to żadna

rewelacja?!

— Nie ma się na razie czym martwić. Według ostatnich sygnałów do połowy lutego ministerstwo ma podać nową, realną czyli z pewnością znacznie podwyższoną kwotę. Przypomnijmy też, że od stycznia 1989 r. nie obowiązują zróżnicowane księgi podatkowe a zastąpione zostały tylko jedną dla wszystkich — tak zwaną księzką przychodów i rozchodów.

— Bardzo to ciekawe, niewątpliwie Czytelnicy chcieliby się jednak dowiedzieć, kiedy ukazą się zmiany systemowe przepisów podatkowych, kiedy ujrzy światło dzienne tyle racy zapowiadane, równie rewolucyjne prawo podatkowe?

— Myślę że nieprędko. Ono musi być tworzone elastycznie, dostosowywane do możliwości, jakie daje i konsekwencji, jakie powoduje ustawa o działalności gospodarczej. Dotyczy to również wielokrotnie już wspomnianego powszechnego osobistego podatku dochodowego.

— Ale mówi się też o obciążeniu przemysłu dywidendą na rzecz państwa i innych obciążeniach majątku przedsiębiorstwa.

— Mówi się też o podatku od wartości dodanej czyli o placeniu podatku w każdej fazie operacji gospodarczych. Nadal więc będą różnice między działalnością państwową a prywatną. Ale to wszystko jeszcze przed nami.

— Jak długo jeszcze pańskim

swoją psychikę.

— A żeby pan wiedział! Nie lubiliśmy ludzi z willami i mercedesami, teraz — kate nam się ich kochać.

— Iby skarbowe zawsze

ich „kochały”.

— Oczywiście! Zwłaszcza

tych płacących uczciwie podat-

ki!

— Czy to prawda, że poza 11 rodzajami działalności koncesjonowanej nie ma żadnych limitów ani ograniczeń?

— Nie ma faktycznie. I bardzo dobrze. Takówkę nowych dla przykładu może wyjechać do miasta i parę tysięcy. Może nareszcie taksówkarz będzie jeździł za mną, a nie ja za nim. Z tą działalnością koncesjonowaną to też jest ciekawa sprawa, myślę, że niektóre branże nie są całkowicie zamknięte przed konkurencyjnymi, nowymi właścicielami.

— Zezwolenia na produkcję alkoholu nikt nie dostanie?

— A czemu pan taki pewien? A gdyby technologia była tańsza, a jakość — lepsza? A może kogós będzie stać na uruchomienie własnej, prywatnej kopalni? A może ktoś się zdecyduje na przetwórstwo złota, drogiej kamieni? Pieniądz rodzi pieniądza...

— Czyli: rodacy, ujawniające swoje finansowe możliwości.

— Tak jest, tak można by określić podstawową zasadę nowego systemu, nowego myślenia ekonomicznego. Ujawniajcie swe kapitały, również te w walutach wymienialnych i — inwestujcie.

— My was zniszczymy podatkami?

— Ale! skąd! System jest liberalny i kto chce uczciwie zarobić, to z pewnością wystarczy mu na podatki i na te piękne domy i samochody...

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI



Collage: Grzegorz Galasiński

bez względu na rozstrzygnięcie, podatek i tak zapłacić trzeba. Ale przecież żadnego rozstrzygnięcia właściwie nie było. Więc co robić? Adwokat poradził Mirosławowi P., żeby teraz grodził tak, jak zamierzal, czyli zgodnie z ustaleniami geodety, nie przejmował się niczym, skoro nikt go już o nic nie oskarża, a dalej...

Nie zrobił nic. I słusznie, gdyż niedawno dowiedział się w urzędzie, że jego działka oznaczona jest teraz nowym numerem i że nie ma już 2000 metrów kwadratowych, a jedynie 1200. Okazało się też, że nie ma jej na aktualnych mapach geodezyjnych. W każdym razie nikt mu nie umiał tam jej pokazać.

Mirosław P. zrozumiał z tego tylko tyle, że posiadany akt notarialny z 25 maja 1981 roku jest, widocznie, bezwartościowym, nie nie znaczącym papierem.

2.

Tadeusz A. mieszka w Koluszkach. Od 1952 roku wraz z żoną użytkował półtorahektar-

dzie, ponieważ działka o powierzchni 0,47 ha, a tyle pozostało Tadeuszowi A. po pierwszym wywłaszczeniu, za gospodarstwo rolne uważana być nie może. Powinien zatem otrzymać on odszkodowanie takie, jak za teren budowlany i to położony, jak wykazano, w strefie śródmiejskiej, czyli — dużo wyższe.

UMIG w Koluszkach, przyjął miążdzący wyrok warszawskiego sądu z respektem i zobowiązał się wyeliminować z decyzji wszelkie błędy i nieścisłości, a także — skorygować wysokość odszkodowania. Tadeusz A. uznał, że to go zadowala i bez większych oporów podpisał sporządzoną po rozmowie z nim notatkę służbową, w której ustalono, że dokonany zostanie między innymi pomiar terenu przeznaczony pod budownictwo jednorodzinne oraz wyjaśni się, dlaczego w zapisach księgi wieczystej i ewidencji gruntów istnieje różnica 400 metrów kwadratowych w powierzchni jego nieruchomości. Podpisał, gdyż uwierzył, że teraz nikt już nie będzie usiłował go oszukać.

I początkowo rzeczywiście wszystko na to wskazywało, jako że UMIG w Koluszkach

zarzutów skargi oznaczałoby wyjęcie spod kontroli sądowej tej części decyzji administracyjnej, której dotyczyłądania bądź zarzuty nieuwzględnione". A zatem nastąpiło „rażące naruszenie prawa”.

Po drugim wyroku sądu w Warszawie sprawa drugi raz wróciła do punktu wyjścia. 9 maja 1988 roku Urząd Wojewódzki uchylił zaskarżoną decyzję UMIG w Koluszkach i przekazał ją do ponownego rozpatrzenia „przy czynnym udziale strony”, czyli — po ludzku mówiąc — Tadeusza A. Zasnaczył przy tym, że należy mu „jeszcze raz udostępnić do wglądu całość dokumentacji związanej z przebiegiem i podziałem nieruchomości na działki budowlane”, aby zgodnie z wcześniejszymi zaleceniami NSA mógł on prześledzić dokładnie cały mechanizm powstania i podstawy prawne decyzji. Aby mógł skontrolować koluszkowskich urzędników i nabrać wreszcie pewności, iż naprawdę nie został pokrzywdzony i oszukany.

Tadeusz A. do dziś pewności takiej nie ma. Do dziś bowiem nie otrzymał nowej decyzji o wywłaszczeniu oraz odszkodowania. Twierdzi też, iż nie udowodniono mu jeszcze, że za-

Przeobrażenia: od „Centrum” do „Polmaxu”.

Ten jeden sprawiedliwy!

JACEK MISIEK

Po artykule „Gruba ryba” opublikowanym kilka tygodni temu w „Ogłosach” otrzymałem wiele nowych i ciekawych informacji, a wśród nich i te, że jeśli czekam na reakcję Andrzeja Szymczaka, to daremnie, bo Młodzieżowa Spółdzielnia Pracy „Centrum” już nie istnieje. Prezes Andrzej Szymczak przymiotnik „młodzieżowa” zastąpił innym — „wielobranżowa”, tworząc na bazie tego, co już było, albo raczej powinno być, pozornie nową jednostkę gospodarczą. Zmiana nazwy oprócz „czystej kartoteki” u ewentualnych nowych pracowników przyniosła także wymierne korzyści finansowe. Kiedy „Centrum” była „młodzieżowa”, studentom wykonującym w niej prace fizyczne, a tych było i jest większość w „nowej” spółdzielni, nie potrącano od wynagrodzeń podatków. W wielobranżowej taki podatek wynosi 16 proc., a to dla zakładowej kieszonki dużo.

Prezes Andrzej Szymczak nakazał kierownikom poszczególnych zakładów usługowych i personalnej, którą już nie jest jego siostra, przyjąć w każdym miesiącu do pracy po dziesięciu nowych pracowników. Wszystkie argumenty, uzasadniające nielogiczność takiego postępowania, odparł mówiąc, że po trzydziestu dniach z każdej dziesiątki zostanie najwyższej jedna osoba. I miał rację! Niewielu pracowników wytrzymało w spółdzielni „Centrum” więcej niż okres próbny, czyli trzy miesiące. Albo sami się zwalniali, albo są zwalniani. Wydane zostało zarządzenie, według którego pracownikowi w momencie odejścia z „Centrum” nie należy się żadna premia, nawet ta, która jest nie wypłacana z winy spółdzielni.

Innym sposobem zdobywania pieniędzy bez inwestycji i pracy są różnego rodzaju potrącenia. Dodatek stażowy i premia motywacyjna zostały połączone i są potrącane między innymi za płatne urlopy wypoczynkowe, za wolne dwa dni w roku przysługujące matkom na opiekę nad dzieckiem, za spóźnienia do pracy, za zwolnienia lekarskie.

Czy takie postępowanie dziwi? Jeżeli weźmie się pod uwagę, że z czegoś trzeba utrzymać spółdzielnię, wypłacić sobie pensję oraz mieć pieniądze na opłacenie kosztów spraw sądowych, to nie. W tym osatnim spółdzielnia „Centrum” jest „recydywistką” — 18 grudnia 1988 roku czekało w sądzie 40 spraw, w których firma Andrzeja Szymczaka grała główną rolę. Wśród nich wiele o zaległe pobory. Pikanterii dodaje fakt, że prezes regularnie, co miesiąc otrzymuje wypłaty w wysokości 240—260 tysięcy złotych.

Andrzej Szymczak negany przez wierzyteli wydał polecenie, aby wszystkich „intruzów” podawać do kolegium. No, a jeśli już zdarzy się od czasu do czasu wypłata, to potrącenia sięgają 30—40 procent. Przyczyn jest bardzo trudno dociec, choćby z tego względu, że w „korianie” — tak o zbiorze zarządzeń mówi prezes — przepisy zmieniają się kiedy chcą i jak chcą.

Aby być świadomym, co wolno, czego nie i co zmieniło się od poprzedniego dnia, prawie każdy pracownik powinien zaraz po podpisaniu listy obecności przejrzeć zarządzenia. Ale to przed godziną 11 jest niemożliwe, gdyż właśnie około tej godziny prezes i jego prawa ręka — Anna Olewińska — zgodnym krokiem, z fryzurą w symptomatycznym nieladzie wchodzi do spółdzielni. Przejrzeć „korian” można tylko w obecności Anny Olewińskiej w sekretariacie, który sięgający też zaczyna funkcjonować dopiero około 11.

Osoba Anny Olewińskiej jest ciekawa i jak się zdaje ważka dla działalności spółdzielni. Z wykształcenia technik dentystyczny, w „Centrum” jest kierownikiem i pracownikiem działu gospodarczo-administracyjnego. Ze wszystkich obowiązków, jakie spoczywają na pracowniku tego działu, potrafiła jedynie kupić herbatę i załatwić kilka innych dupereli. Nie zdołała natomiast zdobyć papieru toaletowego, klódkę do magazynu na ul. Mikołaj Kopernika, który był zabezpieczony przed włamaniem spółdzielni furgonetką parkowaną tak, aby tyłem zastawiła drzwi magazynu. Mizerne to było niestety zabezpieczenie — magazyn okradziono i spalono. Do „obowiązków” Anny Olewińskiej należy także przeglądanie w cztery ocy z prezesem korespondencji. Sekretarka zamykając drzwi za sobą opuszcza swój pokój i wałęsa się po spółdzielniach „komnatach”. Pensja Anny Olewińskiej jest wyższa od tej, którą otrzymują kierownicy zakładów usługowych, częstokroć z tytułami magistralskimi i inżynierskimi. Mocną pozycję Anny Olewińskiej zdaje się potwierdzać i ten fakt, że potrafiła załatwić swojemu bratu pieniądze za nie wykonaną pracę.

Zakazy i nakazy wydawane przez prezesa nie dotyczą panj kierownik działu administracyjno-

-gospodarczego. Może dzwonić po całej Polsce, służbowo i prywatnie, kiedy chce i ile chce. Pozostali pracownicy korzystają z telefonu w sprawach prywatnych mogą tylko raz w tygodniu, zaś służbowo z podaniem numeru i nazwiska osoby, z którą chcą mówić. Wszystkie rozmowy łączone są przez sekretariat, bo „miasto” z pokójów prezes kazał „odciąć”.

Wyjścia służbowe nie mogą przekraczać osmiu godzin w tygodniu, przy czym jednorazowo nie mogą trwać dłużej niż trzy.

Kiedy prezes wywala kogoś na służbową rozmowę, to odbywa się ona przy świadkach, jest protokołowana i ma charakter przesłuchania. Na pisma kierowane do niego przez pracowników nie zwykł odpowiadać, choć zdarza mu się, wprawdzie rzadko, przysłać służbową korespondencję do domu pracownika.

W trosce — bo jak inaczej to ocenić — o pracowników prezes wydał zakaz palenia w spółdzielni. Jedynym miejscem, gdzie palacze mogą oddać się swojemu nałogowi jest spółdzielniany korytarz, ale powyżej dwóch osób na nim to zgromadzenie i, według zarządzenia, kara trzy tysiące. Ale co sędzić o przymusowym dla wszystkich pracowników urlopie w lipcu?

Spółdzielnia „Centrum” jest posiadaczką sklepu, który w miarę normalnie funkcjonował niecałe dwa miesiące. Ekspedientkami są studentki i choć uczciwie, nie pracują dłużej niż miesiąc, dwa. Prezes i na nie znajduje sobie tylko znane „haki”.

Polityka kadrowa Andrzeja Szymczaka jest bardzo trudna do pojęcia dla człowieka przy zdrowych zmysłach. Lustratorzy ze spółdzielności pracy wyliczyli, że w ciągu trzech lat, przez w końcu bardzo małą spółdzielnię „Centrum” przewinęło się około osiemdziesięciu osób. Zwalnianym prezes zarzuca brak predyspozycji do pracy na danym stanowisku. Kiedy spółdzielnia raczkowała, ludzie dobijali się u Andrzeja Szymczaka o pracę. Dziś już chętnych jest coraz mniej. Do 18 grudnia 1988 r. oprócz prezesa i kierowniczk działu administracyjno-gospodarczego zatrudniona była w „Centrum” sekretarka, dwóch radców prawnych (40 spraw) i po trzy panie w działach ekonomicznym i księgowości. Brak było i jest kierowników zakładów, zaopatrzeniowca... „Ehepowieć” nie mogąc uzyskać zwolnienia z pracy porzucił ją. Nie ma również kierowcy. Ostatni zwolniony dyscyplinarnie za to, że chciał zrezygnować z pracy w „Centrum” i zabrać swoje dokumenty.

Wielobranżowa Spółdzielnia Pracy ma dwa samochody dostawcze, które mimo kilku napraw stoją cały czas na kółkach, zaś z tak-sówek bagażowych prezes zabronił korzystać. Ostatni, ten zwolniony kierowca chcąc uczciwie pracować podjął się uruchomić jedną z furgonetek. Kiedy chciał poprosić prezesa o robocze ubranie, nawet nie został dopuszczony przed jego oblicze. Ubrania też nie dostał, bo i tak — według Andrzeja Szymczaka — pójdzie na bazary i sprzeda.

Bezrzędo do gabinetu prezesa byle kto i kiedy chce wejść nie może. Drzwi własnoręcznie otwiera prezes zwalniając zasuwę elektromagnetycznego zamka. Klamka jest z jednej strony — od środka. Na zewnątrz drzwi tylko dziurka od klucza, która, przez pracowników odplacających pięknym za nadobne jest stale zapykana zapalkami i różnym śmieciem. Za wymianę zamka Andrzej Szymczak przywraca prenie i, mając widocznie doskonałą zabawę do-daje, iż ma tak gruby zeszyt z przewinieniami, że chętnych do wymiany zamków nigdy nie zabraknie.

Kiedy Andrzej Szymczak poczuł, że atmosfera wokół jego spółdzielni zaczyna śmierdzieć jak nieświeże jaja zarejestrował nową spółdzielnię nad nazwą „Polmax”. Z konta dorzynanej „Centrum” przelał na konto „Polmaxu” pięć milionów złotych — wszak trzeba z czegoś wypłacić pensję sobie i osobom bliskim ciału i sercu. Ten sam prezes, ci sami wierzni pracownicy, ta sama siedziba, a co najważniejsze, ten sam styl działania. Zapewne niedługo pojawią się nowi ludzie, którzy pozwą Andrzeja Szymczaka przed oblicze nierychliwej Temidy, choć on i tutaj czuje się bezkarny próbując korygować decyzje sądu.

Kiedyś prezes Andrzej Szymczak na zarzut, że wszystkich traktuje jak oszustów odpowiedział anegdota — gdyby zatrzymał dowolny tramwaj czy autobus i w jakiś sposób sprawdził uczciwość wszystkich pasażerów, to okazałoby się, że wśród nich byłby najwyższy jeden sprawiedliwy i uczciwy człowiek.

W mniemaniu Andrzeja Szymczaka tym jedynym zapewne byłby on.

Skóra na niedźwiedziu

wą działkę rolniczą, na której też po dziesięciu latach zbudował nowy dom. Jest on ich własnością do dzisiaj. Gorzej z ziemią. Pozostał jej już zaledwie skrawek. Większość dawnego gospodarstwa, które w znacznym stopniu zasilało kasę Janiny i Tadeusza A., przejął Urząd Miasta i Gminy, aby następnie oddać innym prywatnym użytkownikom pod budownictwo jednorodzinne.

Do pierwszego wywłaszczenia doszło w 1980 roku, kiedy to władze uszczupliły posiadłość małżonków A. o ponad hektar, za co wypłacano im odszkodowanie. Nie zgłaszały wtedy pretensji, choć gdyby sami sprzedali ziemię tym, którzy ją dostali, a zatem — prywatnie, jak uczynił to jeden z sąsiadów, czy też przepisałi na swoje dzieci w postaci działek budowlanych, jak zrobił drugi, wyszłyby na tym zapewne dużo lepiej. Tadeusz A. dowiadywał się wprawdzie, ale okazało się, że nie, ponieważ na jego gruncie zaplanowano akur-rat jakichś usług. Przyjął tedy decyzję naczelnika z pełnym zrozumieniem i mimo wszystko, przyjął zaproponowane odszkodowanie, licząc, iż na tym się skończy. Nie minęło jednak pięć pełnych lat, gdy otrzymał następną „Decyzję o odszkodowaniu za nieruchomości przedjętą na rzecz Państwa”, którą to naczelnik Urzędu Miasta i Gminy w Koluszkach, powołując się na swoje zarządzenie z kwietnia 1983 roku, pozbawiał go prawa do dalszej części ziemi, a konkretnie sadu, i za 0,1273 hektara oferował 206 957 złotych, płatne w ciągu trzech miesięcy.

Tym razem Tadeusz A. poczuł się pokrzywdzony i oszukany przez urząd. Bo nie dosyć, że odbierano mu kolejny kawałek całkiem dobrego gruntu pod uprawy, które przynoszą spory zysk, co wobec faktu, iż żona nigdy nie pracowała zawodowo poza domem, ma kapitalne znaczenie, to jeszcze chciano mu dać za niego znacznie mniej niż byłby naprawdę wart. Odwołania do Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Decyzję utrzymywano w mocy, jako nie budzącą od strony formalno-prawnej żadnych wątpliwości. Odmiennego wszakże zdania był Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie, do którego Tadeusz A. złożył w końcu skargę, wyczerpawszy najpierw wszelkie inne możliwości dochodzenia swych racji. Powodów było kilka:

Po pierwsze — zarządzenie z kwietnia 1983 roku, na które powoływał się naczelnik, nie precyzowało, jaka jest powierzchnia terenu przeznaczony przez władze lokalne pod budownictwo. Nie było także dokumentacji geodezyjnej, mającej stanowić załącznik do tegoż zarządzenia. A jeśli tak, to decyzji o wywłaszczeniu brak wiarygodnego uzasadnienia. Po drugie — wartość przejmowanej ziemi rzeczywiście została poważnie zaniżona, a to z tej między innymi przyczyn, iż zakwalifikowano ją jako leżącą w strefie podmiejskiej i jako część gospodarstwa rolnego, co nie mogło odpowiadać praw-

zlecił Okręgowemu Przedsiębiorstwu Geodezyjno-Kartograficznemu „opracowanie aktualnej mapy prawnej do celów ustalenia odszkodowania i podziału nieruchomości”, zaś UW w Piotrkowie podkreślał w swym piśmie z marca 1987 roku, iż „wyjaśnienia wymaga kwestia, czy przejęty grunt jest gruntem rolnym, czy innym” oraz — że „należy także zweryfikować odszkodowanie za naniesienia roślinne”. Ry-chło jednak wyszło na jaw, że to, co obiecywano mu przed podpisaniem notatki w UMIG, nie znajduje prawie wcale potwierdzenia w działaniach urzędu, a tym bardziej — w kolejnej, poprawionej decyzji wywłaszczeniowej z czerwca 1987 roku. O ile bowiem oferowano mu już ponad 456 tysięcy złotych odszkodowania, to „powierzchnie gruntów przyjęto na podstawie mapy prawnej (...) z dnia 14 stycznia 1983 roku”. Nowej mapy zatem, mimo wiążących ustaleń, widać, nie wykonano. Nie wyjaśniono też, co stało się z owymi 400 metrami. Ponadto przy wyecenie nie uwzględniono uzbrojenia terenu oraz zaniżono cenę ziemi.

Tadeusz A. kilkakrotnie czytał uzasadnienie decyzji i nie pojmował, jak to możliwe: co innego mówią, a co innego robią, dają słowo — nie dotrzymują, myślą się... A najważniejsze — gdzie dowód, że to właśnie część jego ziemi ma pójść pod zabudowę? Tak, jak nie było go przedtem, tak nie ma. Dlatego pozwolił sobie stwierdzić w odwołaniu, że będąc podstawą decyzji wywłaszczeniowej zarządzenie naczelnika z kwietnia 1983 roku „nie dotyczy mojej nieruchomości”. Bo miał prawo tak przypuszczać.

W odpowiedzi Urząd Wojewódzki przyznał, że istotnie znów niesłusznie zaniżono odszkodowanie, i skorygował je na prawie 640 tysięcy złotych, ale pozostałe zarzuty zdecydowanie odrzucił. Reakcją Tadeusza A. była druga skarga do Naczelnego Sądu Administracyjnego, zgodnie z przepisami złożona w UW, który dopiero powinien skierować ją pod właściwy adres. Urzędnicy z Piotrkowa uznali jednak, że to zbyt ciężkie, że wystarczy jeszcze podnieść wartość odszkodowania (do 670 972 złotych) — tym razem z powodu niedolichzenia się przez biegłego wszystkich drzew owocowych, i będzie spokój.

Pomylili się. Spokoju nie było. Tadeusz A. poczuł, że krew mu się zaczyna gotować ze złości. Bo on swoje, a urząd swoje. Porozumiewają się jak gęś z prosięciem. No i czy „w województwie” mieli prawo nie przekazać jego skargi do NSA? Adwokat upewnił go, że w tej sytuacji nie mieli, gdyż albo powinni to zrobić, albo sami uwzględnić i rozpatrzyć wszystkie podniesione w niej zarzuty. Uwzględniono zaś tylko jeden i to wcale przecież nie najważniejszy. Ponowili zatem skargę, a NSA w wyroku z marca 1988 roku uznał w pełni jej zasadność, przypominając urzędnikom, że „częśćowe tylko uwzględnienie żądań bądź

zarządzenie naczelnika UMIG z kwietnia 1983 roku rzeczywiście dotyczy również jego ziemi.

A co zrobiono, aby trwającą już od pięciu lat spór zakończyć? Jeszcze w 1987 roku będący przedmiotem sporu teren o powierzchni 0,1273 ha podzielono na dwie działki budowlane, które na polecenie naczelnika UMIG następnie... oddano w wieczyste użytkowanie Danucie i Wiktorowi P. oraz Teresie K., sporządzając na te okoliczności akty notarialne. Stało się to w tym samym mniej więcej czasie, kiedy Urząd Wojewódzki zalecał Urzędowi Miasta i Gminy dokonanie „szczegółowych ustaleń w zakresie granic przejętej nieruchomości”!

Dowiedziawszy się o tym w kilka miesięcy później, Tadeusz A. zrozumiał, że cała ta wymiana korespondencji, wyroki sądu, zalecenia, ustalenia nie mają praktycznie żadnego znaczenia; że dla urzędu jest on nikim.

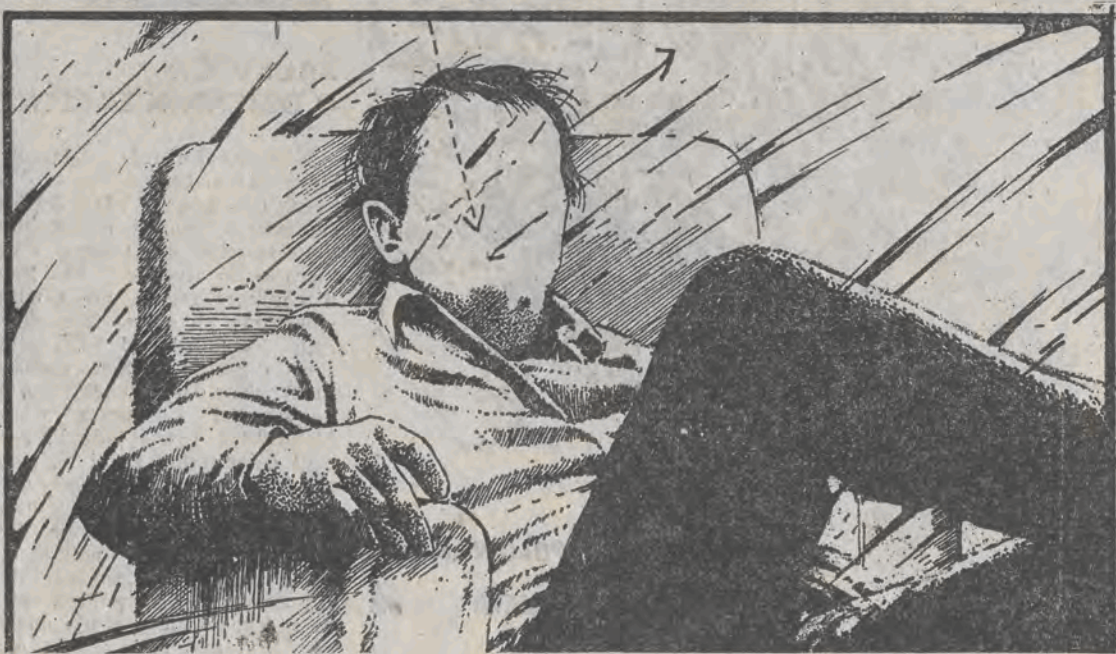
Rozzålony, napisał w liście do Ministerstwa Gospodarki Przemysłowej i Budownictwa:

„Ob. P. Wiktor wraz z żoną w 1967 roku otrzymał działkę budowlaną wykupioną przez Urząd Miasta i Gminy w Koluszkach z nieruchomości J. Jana. Ob. P. na swojej działce wybudował fundament pod dom, postawił garaż metalowy i barakowóz, złożył materiały na budowę. Jednak nie zadowolili się w/w działką. Ob. P. zwrócił się do Ob. Naczelnika (...) o powiększenie swojej działki, kosztem mojej działki ogrodowej, która graniczy z działką Ob. P. Ob. P. wcześniej otrzymał już działkę budowlaną na Osiedlu 30-lecia w Koluszkach, którą opuścił z niewiadomych przyczyn. (...) Nadmieniam, że bez żadnego uprzedzenia mnie i bez żadnego uzgodnienia ze mną Naczelnik (...) wydał decyzję do Biura Notarialnego o sporządzeniu aktów notarialnych dla Ob. P. i innych osób na użytkowania wieczystej dzierżawy. Od wydania w/w decyzji Ob. P. zakłóca spokój mnie jak i mojej żonie. Usiłował wejść na działkę siłą z innymi osobami, a nawet oskarżył żonę o rozbicie 25 sztuk pustaków i o niewpuszczenie go na działkę. Rozbicie pustaków było zmyślone przez Ob. P. A nawet Urząd Miasta i Gminy w Koluszkach (...) wniósł pozew do Sądu Rejonowego — Wydział Cywilny w Tomaszowie Mazowieckim, oskarżając mnie o zajęcie posiadłości nieruchomości. Sąd Rejonowy dn. 28.10. 88 r. oddalił pozew przysądżając na moją korzyść koszty postępowania sądowego. (...) Nadmieniam, że to przez biurokrację gminną (...) stworzyli się zatargi, nieporozumienia i sądy...”

3.

Niezależnie od tego, czy władze administracyjne Koluszek mają podstawy do wywłaszczenia Tadeusza A., czy nie, ostatnie zdanie jego listu jest na pewno prawdziwe, a i Mirosław P. z Tuszyzna mógłby się pod nim śmiało podpisać.

PAWEŁ TOMASZEWSKI



Rys. Janusza Szymański-Glanc



ALEKSANDER GALICZ

Kołomyjka z literami

W Piotrogradzie, w Leningradzie, to nieważne zresztą gdzie, na ulicy Kołokolnej żyły sobie A, I, B, A pracuje, B pracuje, I na trąbie gamy różne, I na trąbie gamy różne, i choć różne tak całe dni bardzo lubią je i cenią przyjaciele — A i B.

W któryś wieczór niespokojny, gdy ruszyła Nową kra, na ulicę Kołokolną przyszli cichcem trzej z CzeKa, A zabrali, B zabrali, I nie wzięli — a niech gra.

Rok rozpiął się we mgłę, powrócił A i B, z tej okazji I na trąbie odegrało pieśń dwie.

Lecz gruchnęła wieść oddolna: znowu biorą — będzie żel! Wkrótce i na Kołokolną przyszedł trzej z NKWD, A zabrali, B zabrali, I zabrali, itd.

Upłynęło dziesięć lat, A, I, B wyszli z krat, pomilczyli, powzdychali, powiedzieli: „Niech to szlag!”

Parę lat spędziły miło i spokojnie B, I, A, lecz znowu trzech się pojawiło a KGB któregoś dnia, A, I, B zabrali znowu, wyzywając je od „k”.

Po A — przepadł wszelki ślad, po B — przepadł wszelki ślad, po I — przepadł wszelki ślad, wszelki ślad na milion lat!

tłum. MICHAŁ B. JAGIELLO

Półka z książkami

ZAGADKA KRYMINALNA

Nie, nie zamierzam omawiać w tym miejscu jakiegos „kryminału”, choć treścią „Herriot Street 29” Johna Huttona jest zbrodnia z jej wszystkimi prawnosądowymi następstwami. Jednakże jest w tej książce także głębsza warstwa: to opis burzliwego świata z lat dwudziestych i trzydziestych, to interesujące studium psychologiczne, kulturowe i obyczajowe bogatego społeczeństwa angielskiego. Z tego też powodu polecam tę książkę naszym czytelnikom.

Przekład Aleksandra Ambrosa. John Hutton: Herriot Street 29. Wyd. Lit. 1988. Str. 352. Cena 750 zł.

OCZAMI GEN. SOSNKOWSKIEGO

Wkrótce minie 50 lat od wybuchu drugiej wojny światowej. I jakby wrzeczając te daty Wydawnictwo MON zaprezentowało książkę gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego pt. „Cieniem września”. A więc otrzymaliśmy relacje naczelnego świadka i uczestnika tamtych krwawych, straceńczych choć bohaterkich zmagani.

Kazimierz Sosnkowski: Cieniem września. MON 1988. Str. 292. Cena 850 zł.

Oprac. E. IW.

„Jakie to niemieckie” — tytuł, który napotkany na ladzie księgarskiej może budzić niechęć, a niezauważenie go byłoby naprawdę stratą. Znajomość literatury amerykańskiej wśród szerokiego rzeszy czytelników ogranicza się najczęściej do dwóch nazwisk dziś już klasycznych Faulknera i Hemingwaya. Po nich nadeszli jednak następcy: Bellow, Malamund, Singer, Heller, Barth, Berger, Nabokov. Obecnie możemy zapoznać się wraz z tą

precyzji języka, kultury, a także umiejtniej organizacji życia w każdym jego przejawie. Abish prezentuje Niemców, którzy muszą stawać wobec przyszłości przez pryzmat własnej przeszłości, przez pryzmat klęski i nikczemności. Jacy są bohaterowie młodego Amerykanina? Przede wszystkim dobrze sytuowani, zadowoleni ze swej pracy i poziomu życia, uśmiechnięci, jasnowłosi i pewni siebie. Przeszłość jest dla nich najczęściej iluzoryczna, umyka

to bardzo dobrze zwłaszcza, że tytuł ukazuje się w obu wydawnictwach znakomicie uzupełniają się. Jedyne co może budzić wątpliwość to kalkulacja ceny książki w Wydawnictwie Literackim, gdyż nie ma ona nic wspólnego z solidnością edytorską, odwrotnie niż to ma miejsce w PIW. Warto byłoby także kontrolować to co wypisane jest w tzw. nocie wydawcy. Na okładce książki „Jakie to niemieckie” czytamy, że autor przebywał wiele lat w



Obraz terażniejszy

oto książka z przedstawicielem najmłodszego pokolenia Walterem Abissem. Utwór Waltera Abisha wydaje mi się książką naprawdę interesującą. Utrzymana w konwencji realistycznej mogłaby jednak rozczarować trochę kogoś przywiązanego do powieści tradycyjnej, konwencjonalnej. Wyróżnia ją przede wszystkim ciekawa forma. Całość składa się z szeregu drobnych fragmentów, w których napotyknąmy referencje powracające do zdan, obrazy i sytuacje. Jest to powieść otwarta — bez klasycznego początku i końca, którą w każdej chwili można rozszerzyć o nowe wątki, nie podsumowując i nie podkreślając. Jest wyrwanym z całości fragmentem życia bohatera.

Jest to próba przedstawienia współczesnych Niemiec i Niemców trochę w duchu Dos Passosa. Próba przedstawienia narodu od wieków dumnego ze swej filozofii,

gdzieś w niewiadomą pozostawiając jedynie piękne piętno klęski. Wymazanie prawdy, tworzenie nowej nie jest jednak możliwe, bo jej świadectwa tkwią właściwie na każdym kroku, prawie pod każdą płytą dobrze utrzymanego chodnika. Dobrobyt sprawia wrzenie powszechnej szczęśliwości, lecz nie jest to prawda. W aktach zamachów terrorystycznych ujawnia się agresja. To co udaje się stworzyć Ulrichowi Hargenau i jego bratu Helmutowi nie jest wcale zachęcające. Wprawdzie żyją dostatnio i ciekawie, ale ich życie pozbawione jest istotnych wartości. Wiąza się łatwo z coraz to innymi kobietami i nie potrafią stworzyć czegoś naprawdę trwałego, co pomogłoby im odnaleźć się w świecie. Są niezależni i wyzwoleni, lecz płać za to określoną cenę. Krakowskie Wydawnictwo Literackie stworzyło, odpowiadającą piwowskiejserii prozy współczesnej.

Niemczech i stąd wywodzi się jego doskonała znajomość realiów. Może ta informacja zaskoczyć znających wypowiedzi pisarza, której udzielił Tomaszowi Mirkowiczowi: „Z Europą łączą mnie (...) silne więzy, najsilniejsze z kulturą i literaturą Austrii i Niemiec, bo mówię po niemiecku. Aczkolwiek w Niemczech nigdy nie byłam”. (Literatura na świecie. 1984, nr 1, s. 282).

ANNA POLAKOW-NEJMAN

Walter Abish „Jakie to niemieckie”. Przekład Blanki Kwiecińskiej-Kuczborskiej. Wydawnictwo Literackie. Nakład 10 000 egz. Cena 560 zł.



Wieczór muzyki czeskiej

Program koncertu, który odbył się w Filharmonii Łódzkiej 20 stycznia br. obejmował dwa dzieła kompozytorów czeskich drugiej połowy ubiegłego stulecia. Poprowadził go młody, utalentowany czeski dyrygent — Stanisław Macura, solistą był łódzki pianista — Tadeusz Chmielewski. Pierwszym utworem, który usłyszeliśmy był Koncert fortepianowy g-moll Antoniego Dwořzaka. To obszerne dzieło instrumentalne powstało w okresie, kiedy twórczość kompozytora była jeszcze mało znana. Ze względu na szeroką, symfonicznie potraktowaną formę muzyczną, utwór nie zyskał uznania u pianistów, którzy uważali partię solową za mało interesującą i wdzięczną. Jeżeli chodzi o koloryt instrumentalny, to jest on w pewnej mierze pokrewny koncertom Beethovena i Brahmsa. Jednak klimat dźwiękowy utworu wyznacza motyw i tematy muzyczne wywodzące się z czeskiej muzyki ludowej, stąd jego słowiański temperament rytmiczny.

Pierwsza część — Allegro agitato utrzymana jest w patetycznym charakterze. W zaprezentowanej interpretacji na szczególną uwagę zasługiwał wielki, patetyczny wstęp orkiestrowy. W każdej części pierwszej solista z dużym wycuciem stylu oddał nastrój tego fragmentu dzieła. Równie wyrazisty był drugi, lekki i śpiewny temat poboczny, podobnie jak w drugim ogniwie — Andante sostenuto, nastrój spokoju i nokturnowej pogody. Pianista pięknie wczuł się i oddał klimat tej części. Pod względem muzycznego wyrazu świetnie zabrzmiał też początkowy epizod pierwszej waltorni. W finale — Allegro con fuoco — szczególnie wyrazista była rytmika. Najbardziej interesującym brzmiał grany przez solistę temat pierwszy — znakomicie uwypuklona jego żywiołowość, temperament i muzyczny humor. W partii orkiestry zaś wyróżniły się fragmenty grane w tutti całego zespołu.

Drugim utworem omawianego koncertu była zaprezentowana po raz pierwszy w Łodzi bajka na orkiestrę symfoniczną „Raduz i Mahulena” Józefa

Suka, który był uczniem Antoniego Dwořzaka w zakresie kompozycji. Już sama instrumentacja utworu wykazuje pewne wpływy mistrza, ale muzykę Suka cechuje większa różnorodność nastrojów. Utwór składa się z czterech muzycznych obrazów poprzedzonych programowymi tytułami. W pierwszym — „O wiecznej miłości Raduza i Mahuleny i ich troskach” najbardziej przekonująco brzmiał temat pierwszy grany przez wiolonczelę i kontrabas, a ciekawo wykorzystanie ciemnych barw instrumentów dętych oraz wyraziste brzmienie fagotów i klarнету basowego dopełniało wyrazu. Jedyne w puzonach słyszano się pewne usterek intonacyjny.

Zupełnie inny charakter i nastrój ma drugi obraz utworu — „Gra w labędzie i pawie”. Jest to scherzo o silnie zaznaczonej rytmice. W tym wykonaniu szczególnie zaangażowanie muzyczne wykazały grupy: instrumentów dętych drewnianych — najbardziej obję, fagoty oraz perkusja. Jednakże najsilniejszy ładunek kontemplacyjny przynosi trzeci obraz — „Muzyka żałobna”. Dyrygent znakomicie odczuł klimat prezentowanego utworu. Szczególnie przejmujące były smyczki i posępne akordy instrumentów dętych blaszanych.

W ostatnim obrazie — „Kłatwa Runi i jak została ona pokonana przez miłość” — największy muzyczny wyraz osiągnięto w akordach głównego tematu, granych przez niskie smyczki, buzony i waltornie. Również ważna cecha finału były świetnie zaznaczone kontrasty dynamiczne: od intymnego piano, do ostrego i agresywnego fortissimo. Sumując trzeba przyznać, że artyści przedstawili słuchaczom mało znane, lecz naprawdę wartościowe dzieła muzyczne. To było bez wątpienia największym atutem wieczoru.

PIOTR KUKIELKA

PESTKI DYNI

W Baku, u państwa Babajewów żyje kot, który mówi. Nazywa się Mesi, ma 12 lat i mówi po azerbejdżańsku, w rodzinnym języku swoich właścicieli. Mesi nigdy pierwszy nie zabiera głosu. Trzeba go o coś zapytać, wtedy odpowie; jest to zgodne ze skrytą naturą kotów — czy widział ktoś gadającego kota? Bzdural Akademik Garri Gassanow, dyrektor Instytutu Fizjologii Akademii Nauk oświadczył na łamach dziennika „TRUD” (19 milionów nakładu): „Nie są to dźwięki brzuchomowcze ani też pochodzące z instrumentu elektronicznego. Badalem kota wielokrotnie i stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że mówi samodzielnie, bez pomocy. Tymczasem nie wiadomo jeszcze, jak to jest możliwe. Postawiliśmy to pytanie grupie naukowców, którzy zajmują się badaniem „zjawiska Mesi”. Niewykluczone, że jest to wynik jakiegoś specjalnego treningu, bo absolutnie nie wierzę, by kot mówiąc myślał!”

W ostatnim stwierdzeniu akademik Gassanow jednak grubo się myli — wiele niezbitych faktów w przastarej historii stosunków człowieka z kotem świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Przewertujmy stronice dzieł takich poetów i pisarzy jak E. Deschamps, Ch. Perrault, bracia Grimm, I. Krasiński, E. T. A. Hoffmann, N. Boileau-Despreaux, Kryłow, Lewis Carroll, Kipling, St. Jachowicz, M. Bulhakow, inni — a przekonamy się, że Gassanow racji nie ma. Poza tym, nie bez powodu, kot był świętym stworzeniem u wielu starożytnych ludów. I nie na darmo łączy się go — jakże często — z silnymi niezwykły, nawet z samym Szatanem...

Przypomnijmy sobie chociażby Behemota z „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa. Kiedy milicja tropiąca Wolanda i jego bandę wpadła do mieszkania nr 50 przy ul. Sadowej 302-A, zastała tam w jadalni na stole resztki śniadania, zaś w „salonie” na gzymsie kominka obok kryształowej amfory siedział ogromny czarny kot. Trzymał w łapach prymus (...) — Nikomu nie przeszkadzam, nikogo nie ruszam, reperuję prymus — niezbyt wiele powiedział kot i nastroszył się — poza tym uważam za swój obowiązek uprzedzić, że kot to zwierzę starożytne i nieykalne. — Wyjątkowo czysta robota — szepnął jeden z przybyłych, a drugi powiedział głośno i wyraźnie: — No to, nieykalny kocie-brzuchomowco, pozwól no tutaj! Sieć rozwinięła się i śmignęła w powietrze, ale ku zdumieniu wszystkich chybiła i złowiła tylko dżaban. Fagoty natychmiast rozbił się z brzękiem. — Puddol — wrzasnął kot. — Hurra! — i nagle odstawivszy prymus, wyszarpnął zza pleców brauning. Blyskawicznie wycelował w najbliższe stojące, ale zanim zdążył wystrzelić, z dion tamtego zionęo ogniem i wraz z hukkiem wyrzucił z mauerza kot, wypuszczając brauning i porzucając prymus, kłapanął głową na dół z gzymsu na podłogę. — Wszystko skończone — słabym głosem powiedział kot i malowniczo ułożył się w czerwonej kałuży — odświeżcie się ode mnie na chwilę, pozwólcie mi pożegnać ten podół! (...)

Co było dalej, ci co czytali wiedzą; ci co nie czytali — niech przeczytają. Przypomnę jeszcze fragment zakończenia historii Mistrza i Małgorzaty:

„Także i Behemotowi noc oderwała jego nuszysty ogon, odarła go z futra, rozruciła strzepy sierści po mokradłach. Ten, który zabawił księcia ciemnością jako kot, objawił się teraz jako szczerplutki chłopek, demon-paź, najwspanialszy błazen, jakiego znał świat. Teraz i on także zamilkł i pedził bezżelaznie, podstawił swoją młodą twarz pod napływającą od księżycy poświatę”.

I cóż nadzwyczajnego w tym, że kot z Baku mówi po azerbejdżańsku? Włoska „LA STAMPA” opisując jego przynadek, mazeruje, że hasło obecnej polityki głośności w ZSRR potrafiło natchnąć nawet koty...

My wiemy swoje: koty zawsze mówią i myślą, od tysiącleci...

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



POWRÓT Z POLOWANIA WEDŁUG JULIANA FAKATA

Rys. Sławomir Luczyński



JACEWICZ O DZIENNIKARSTWIE

„...Polska formuła dziennikarstwa narzuciła pewien typ belkotu. Tak zawsze było. Jeśli coś się mówi, nawet nieszkodliwie dla władzy, ale innym językiem — to szokuje. W Polsce dziennikarz został przez władzę ustawiony na stanowisku służebnego podnóżka. I to, niestety, zostało przyjęte przez większość środowiska dziennikarskiego, choć na szczęście nie przez wszystkich. Władza wie jednak, że na ogół dziennikarz zrobi to, co mu się każe, a co więcej — często sam odgadnie, co by władca chciał, aby było zrobione. Tymczasem za granicą polityk najczęściej jest „zakładnikiem” dziennikarza. To polityk zabiega o jego względy, a nie odwrotnie... Pytanie dziennikarza nigdy nie jest niewłaściwe. Jeśli polityk nie potrafi publicznie obro-

nić swoich racji, to musi wiedzieć, że porusza się w ramach jakiegoś dogmatu, który nieuchronnie będzie obalony. My dwaj głęboko wierzymy, że nie utrzymają się pewniki, których nie można przyzwyczoić, publicznie uzasadnić wobec mas. Bo to by znaczyło, że racje te nie są rozsądne. Oczywiście, że jeszcze teraz dziennikarze z tego powodu cierpią, ale naprawdę idą nowe czasy...” (Tadeusz Jacewicz — który wraz z Markiem Ostrowskim prowadzą najbardziej oglądany niedzielnny komentarz dnia w telewizyjnej „Dwójce” — w wywiadzie dla „Anteny”).

NAGRODA I... BOJKOT

Laureatem jednej z najbardziej prestiżowych nagród literackich Wielkiej Brytanii — Whitbreada (Nagrody Księgarzy) został 41-letni Salman Rushdie za książkę „Satanio Verses” (Szańskie strofy). Książka tego hinduskiego pisarza znalazła się w Indiach na indeksie, natomiast w Pakistanie i RPA wycofana została ze sprzedaży z powodu protestów ugrupowań muzułmańskich zarzucających autorowi bluźnierczy stosunek do Mahometa. Tytuł powieści zacierany został z wersetów Koranu, usuniętych przez

Mahometa jako „inspirowane przez szatana”. Ostatnio, do kra- jów zakazujących dźwięku i rozgłoszenia książki dołączył Bangladesz. Utrzymuje się tu, że książka obraża uczucia religijne wspólnot muzułmańskich.

JANKESKA

Do Paryża przybyła Bette Davis w związku z francuskim wydaniem jej książki „This'n that” (To i tamto). „Odziedziczyłam pionierskiego ducha moich przodków. Jestem prawdziwą Jankeską. Nigdy nie mówię o umieraniu. Ambicją to mój wciąż działający napęd” — powiedziała aktorka w wywiadach. Trzy lata temu, gdy wręczano w Paryżu nagrodę „Cezara”, wyraziła nadzieję, że ktoś zaproponuje jej rolę w filmie. I oto wkrótce zagrała w obrazie Lindsey Andersona „Sierpniowe wio- loryby”.

„TYLKO W ZAKŁADACH PSYCHIATRYCZNYCH”

„...Naturalnie, że wszędzie manipuluje się kulturą, że manipuluje się polityką. Można to czynić jednak otwarcie, cynicznie i bezwzględnie, a można łagodnie, perswazyjnie. Istotną różnicą jest to, że na Zachodzie proces ten

przejawia się w formie mechaniz- znów rynkowych, manipulacja wyraża się zatem bezosobowo. Z tego powodu bunt artysty tam jest trudniejszy, bo przeciw komu ma się buntować: przeciwko zjawisku bezosobowemu? Łatwiej więc — co może wyglądać na paradoks — tamtejszy twórca ulega manipulowaniu, gdyż poddaje się nie komus, ale czemuś, a przy tym zachowane są pozory wolności. U nas natomiast decyduje nie ktoś, lecz ktoś — konkretnie wydawnictwo, jego szef, polityczny przełożony tego szefa. Tam o nakładzie decyduje rynek. Prezes domu wydawniczego może o sobie nie lubić autora, nie podzielać jego poglądów politycznych, kiedy jednak dzieło tego autora przynosi pieniądze, wówczas jest wznawiane i to w dużych ilościach. U nas zaś dzieło może zapowiadać sukcesy finansowe, ale nie będzie wydrukowane w dużej liczbie egzemplarzy, ponieważ bierze się pod uwagę poglądy polityczne pisarza, słowa, czyny, zachowania... Wyrażanie prawdy... W literaturze — mówię o tym, na czym się znam — trzeba być ostrożniejszym z bezwzględna prawdą. Bo gdy człowiekowi wydaje się, że zna prawdę, wówczas odcina się od świata i czytelników. Dlatego, że wyraża tylko jej cząstkę, a nie bierze pod uwagę różnorodności świata i różnorodności czytelnici-

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

9 stycznia w foyer Teatru Studyjnego '83 odbyła się symultaniczna projekcja zapisu wideo Andrzeja Paruzela pt. „Biuro w Olsztynie”. Symultaniczna, bo dokładnie w tym samym czasie ten sam film wideo oglądali widzowie także w trzech innych miastach: w Warszawie w Galerii Promocyjnej, w Toruniu w Galerii S oraz w Lublinie w BWA.

Andrzej Paruzel zajmuje się fotografią eksperymentalną wideo od chwili rozpoczęcia studiów w PWSFTiIT na wydz. operatorskim. Wystawiał swoje prace w Paryżu (indywidualne wystawy w Galerii Lara Vincy w 1977 i 1987 r.), na Paryskim Biennale Młodych w 1982 r., w Centrum Pompidou w 1983; w Amsterdamie, a także w wielu miastach w Polsce. Głównie wykładał w WSSP w Łodzi i w Academie de Beaux Arts w Paryżu. Zajmował się też u-

jęknie malownicze łażenie po dachach, wielokrotne przechodzenie przez płoty (Paruzel z teczką i stołkiem w ręku, Kryszczkowski na krześle na płocie grający na skrzypkach melodie ze „Skrzypka na dachu”). Wreszcie Biuro instaluje się na „krużganku” — jakiegoś domu-kurnika. Stąd nieco bliżej do niedosięgniętych wyzwań myśli! Następnie oglądamy olsztyńskiego przyjaciela Biura, który robiąc wspaniałe miny i poruszając sumiastymi wąsami robi wykład o sądach syntetycznych a priori Kanta. Kant jako przedstawiciel Europy Centralnej (Królestwo) znalazł się w filmie zapewne w związku z jego tzw. kopernikańskim przewrotem w filozofii. Dalej film przedstawia prace Biura: skrupulatne lakowanie butelki z kurzem z pracowni Władysława Strzemińskiego i Henryka Stażewskiego, które zajmują

stkiego w sztuce, co zawarte jest między dowolnością i nie-dowolnością, między swobodą, wolnością i apriorycznym narzuconym programem. Jest to w końcu także pytanie o granice determinizmu, i to zarówno biologicznego (człowiek we wszechświecie — Kopernik) i filozoficznego (człowiek jako istota obdarzona określonymi zdolnościami poznawczymi — Kant) jak i geograficznego, i społecznego wreszcie. Jest to problem swobody twórczej jednostki, indywidualizmu ginącego w starciu z „instytucją”. O obronie wolności artysty i działań artystycznych przed instytucjonalizacją pisze też Paruzel w wydrukowanym w „Biurze...” svingowanym liście do P. Greenawaya, powołując się na przekorne propozycje m.in. Firmy Portretowej Witkacego (której regulamin jest genialną parodią regulaminu); ruchu Fluxus (happening! i performan-

Projekcja wideo w Teatrze Studyjnym

powszechnianiem sztuki — jego filmy wideo podejmowały temat współczesnej edukacji plastycznej. Mniej więcej od roku swoje dwie pasje — indywidualną pracę twórczą oraz otwarte działania w obszarze animacji kultury — próbuje zjednoczyć w wydawanym przez siebie periodyku „Biuro Przewodników Po Sztuce i Kulturze”. Kolejne numery pisma ukazały się dzięki pomocy: Łódzkiego Muzeum Kinematografii, warszawskiej Galerii Promocyjnej i Łódzkiego Teatru Studyjnego.

Trzeba tu koniecznie zaznaczyć, że nazwa „Biuro” jest acyprze-wrotna, bowiem nie ma nic wspólnego z instytucją, interesami czy urzędową hierarchią. Jest to „biuro” jednoosobowe, a jego siedziba są umysł i dusza Paruzela. No, może jeszcze jego nieodłączną teczką... Periodyk powstaje w sposób niemal wariacki. Teksty, które mają się w nim znaleźć autor przepisuje na maszynie u różnych przyjaciół, odbitki ksero robi gdzieś pod Łodzią, zaś ciemnie fotograficzną ma w Kolużkach. Myślę jednak, że to wszystko doskonale oddaje charakter jego postawy artystycznej. Wyraża ją także w pełni zaprezentowany film wideo o olsztyńskich peregrinacjach Biura. Olsztyn (Europa Centralna to główny obszar zainteresowań Biura) został wybrany jako miejsce narodzin naszej kultury. Tu pracował Kopernik i tu powstała część jego wiekopomnej teorii. Biuro (w osobach Andrzeja Paruzela i Jacka Kryszczkowskiego) wędruje po ulicach miasta w poszukiwaniu śladów wielkości. Pewnie stąd to przekorne, zabawne i

miejsce wśród innych butelek, i flakonów opatrzonych napisami, np.: Wódka wyborowa Biura, Eau de toilette Biura, Kropelki walerianowe Biura, Kleksy Biura itp. Do osobnych butelek wkładane są pieczęlowicie wycinane z tekstów, kropki, przecinki oraz kropki znad „i” i umiastów (z pism Kanta) — jako ślady, akcenty filozoficznego myślenia. Jest w tym wszystkim trochę „parublagizmu” (czy może „biurblagizmu?”), jest to pewnie trochę w-pole-wyprowadzizm, bractwa-kawalizm czy z-mańki-zawalizm (Witkacy). Ale dzięki temu film jest dowcipny i jego projekcja wywoływała szczerzy śmiech oglądających. Akcja filmu przerywana jest co trochę napisami-ha-słami (w języku polskim i niemieckim), np. MOJE BIURO JEST MOIM PIOREM (czy nie przypomina ono o wiele ostrzejszego: „Mój wiersz jest moim nożem” H. M. Enzensbergera?), ŚWIAT NIBY ŚWIAT, ŚWIAT NIBY ŚWIAT, KRZYK NIBY KRZYK, itp. Myślę, że jest to celowe nawiązanie do sztuki konceptualnej. Pobrzmiewają tu bowiem echa założeń teoretycznych twórców Minimal Art, którzy czerpali z wiedzy lingwistycznej. Wszystkie hasła z filmu zbudowane na zasadzie asonancji, zarówno w polu signifikacji jak i signifiant; wykorzystana jest też, ulubiona przez teoretyków Art-Language, tautologia, która ma wyrażać niewyrażalne.

Idąc tym tropem da się chyba powiązać wszystkie elementy filmu w znaczącą całość. Oto głównym tematem staje się problem (postawiony już w latach 60. przez Roberta Morrisa) tego wszy-

ces o charakterze często obrazoburczym, kończące się nierazko procesami sądowymi); czy wreszcie Art-Language o czysto konceptualnym, homocentrycznym obliczu.

„Następnego dnia spadł śnieg i Andrzej wykreślił na nim linię równonocy” — mówi narrator filmu. Projekcja kończy się sceną malowania na śniegu słowa RÓWNONOC, jakże pięknego określenia zrównania dnia z nocą. Ciekawe, że Paruzel zakończył swój film słowem, które waha się między arbitrary i non-arbitrary. Czy świadomie? „Równonoc” jest bowiem (jak twierdzą semiolodzy) znakiem częściowo motywowanym złożonym z dwu pojęć: równo — noc.

„Video — pisał jeden z zachodnich twórców — jest kolejnym instrumentem, jak ołówek, do wyrażania naszych idei, wizji i pragnień”. Myślę, że ci, którzy uczestniczyli w projekcji Biura zgodzą się z tym zdaniem. Szkoda tylko, że tak rzadko mamy okazję brać udział w tego typu imprezach. Sztuka wideo jest u nas ciągle jeszcze, niestety, sztuką dość kosztowną. I niechęć chyba nadszarpnęła kieszeń autora. Miejmy jednak nadzieję, że Biuro nie ogłosi upadłości...

LUCYNA SKOMPSKA

A może do kina?



Tony Scott jest twórcą filmu „Gliniarz z Beverly Hills II”, który możemy obejrzeć aktualnie na ekranach łódzkich kin. Film jest utrzymany w formule komedii sensacyjnej. Prowadzący śledztwo w sprawie napadu na sklep jubilerski wzywają na pomoc swego wypróbowanego przyjaciela z Detroit — Axela Foley, którego brawurowo gra Eddie Murphy. Ponadto w filmie występują: Judge Reinhold, Jürgen Prochnow, Ronny Cox, John Ashton, Brigitte Nielsen, Dean Stockwell i inni.

Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

* Właściciele kin w Hiszpanii narzekają na malejącą wciąż frekwencję widzów. W ciągu lat 1982-1987 zamknięto tu aż 1600 sal kinowych zaś w samym tylko roku 1986 sieć kinowa zmalała o 400 sal. Na koniec 1988 r. funkcjonowało w Hiszpanii ponad 2,2 tys. kin. Według oceny właścicieli kina bankrutują zarówno w małych miasteczkach, jak i w dużych metropoliach. W samym Madrycie z 200 sal kinowych istniejących w 1983 r. zostało już niespełna 150.

* Tego jeszcze w Watykanie nie było. Po raz pierwszy odbyła się tu projekcja filmu nakręconego na podstawie dzieła literackiego, którego autorem jest papież. Chodzi o światową prapremierę filmu „Przed sklepem jubilera”. Film reżyserował Michael Anderson, a wśród wykonawców: Burt Lancaster, Daniel Olbrychski, Olivia Husel, Ben Cross. Uroczystość odbyła się w sali Pawia VI.

* Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Reportażu Telewizyjnego „Scoop '88” we Francji zdobył reportaż Mariana Terleckiego „Książd Jerzy”. Jest to skrócona wersja dokumentalnego filmu o księdzu Jerzym Popieluszu.

* Twórca głośnej „Assy” Siergiej Solowjow pisze scenariusz do kolejnego filmu — „Spotkanie z Bonapartem” według powieści Bulata O-kudawy. Film kręcony będzie w kooperacji z amerykańską firmą „Fresfilm”.

* „Sciany” Piotra Dumay zostały nagrodzone na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Huesca (Hiszpania), jako najlepszy utwór animowany. Film Piotra Dumay zdobył również nagrodę Federacji Klubów Filmowych Aragonii.

* W rzymskim mieszkaniu przy via Margutta zawsze pełno dziennikarzy i fotoreporterów. Fotografują rozwieszane na ścianach karykatury zrobione przez Felliniego, który przecież rozpoczął swoją karierę jako satyryk. Obecnie Maestro pracuje nad filmem „Głos księżycy” — historią umierającego człowieka, który pragnąc przywrócić do tego, co go czeka, kupuje sobie miejsce na cmentarzu i postanawia zamieszkać w grobowcu.

* Przed wrześniem 1939 roku powstało w Polsce ponad 370 filmów fabularnych. Historię polskiej kinematografii otwiera „Powrót birbanta” z Kazimierzem Junoszą-Stepowskim z 1902 r. Po wielu, bardzo wielu nie ostał się do dziś żaden ślad.

Polmatedex Majed

ŁÓDZKA FABRYKA MASZYN JEDWABNICZYCH
„POLMATEX - MAJED”
w Łodzi

PRODUCENT MASZYN
DLA PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO i CHEMICZNEGO

ORGANIZUJE

- przeszkolenie i pracę w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbkowych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych również dla absolwentów techników

OFERUJE

atrakcyjną pracę INŻYNIEROM i TECHNIKOM szczególnie w specjalnościach

- technologii budowy maszyn
- konstrukcji maszyn włókienniczych
- konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- powłok galwanicznych i lakierniczych

ZATRUDNI

pracowników wykwalifikowanych i do przyuczenia w zawodach:

tokarz	monterów maszyn	wyłaczarz
frezer	blacharz	ślusarz
wiertacz	elektryk	narzędziowych
szlifiarz	elektronik	remontowych

INFORMUJEMY

if monterzy maszyn, elektronicy i elektrycy delegowani są do prac przy montażu do wielu krajów świata.
Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.
Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.
Posiadamy ośrodki czasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę czasową z przedsiębiorstwami w NRD.
Szczegółowych informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul. Żeromskiego 96, telefon 36-05-28 lub 36-57-00, wew. 115.

712/K

WIELOBRANŻOWE PRZEDSIĘBIORSTWO „CENTROPOL”

Spółka z o.o. (j.g.u.) w Łodzi

PRZYJMUJE

JESZCZE
ZAMÓWIENIA

na wykonanie w 1989 roku następujących prac:

- Projektowych**
 - w zakresie budownictwa powszechnego w specjalnościach: architektonicznej, konstrukcyjno-inżynierskiej, instalacyjno-inżynierskiej, instalacji i urządzeń elektrycznych
 - w zakresie elektrotechniki: linie przesyłowe, stacje rozdzielcze i transformatorowe, instalacje, sieci
- Oceny stanu technicznego**
 - budynków i budowli
 - izolacji cieplnych
 - instalacji elektrycznych, ogromnych, centralnego ogrzewania
- Pomiarowych**
 - parametrów pracy instalacji wentylacyjnych i klimatyzacyjnych oraz mikroklimatu w pomieszczeniach
 - parametrów pracy instalacji i urządzeń elektrycznych
 - skuteczności ochrony przed porażeniem

Zamówienie składać pod adresem przedsiębiorstwa: 91-101, Łódź 52, skrytka 86, 428/K

„ODGKOSACH”
ogłasza
się

Zakłady Hydrauliki Siłowej

Łódź, ul. Przybyszewskiego 176/178

ZATRUDNIA
NATYCHMIAST:

- kierownika kontroli jakości Wydziału Odlewni
- specjalistę ds. bhp
- branżystę
- kontrolera jakości Wydziału Odlewni
- tokarza
- szlifiarza
- wydawcę w magazynie
- robotników w Wydziale Odlewni
- robotników transportu wewnętrznego.

Nie przyjmujemy pracowników po porzuceniu pracy.
Informacji udziela i zainteresowanych przyjmuje
DZIAŁ SPRAW PRACOWNICZYCH
Łódź, ul. Przybyszewskiego 176/178 tel. 74-44-81, wew. 219
869 K



**DUŻA OBNIŻKA CEN, SZCZEGÓŁY W SKLEPACH
zapraszamy**

Przedsiębiorstwo
Zagraniczne

Poddebice - Łęski 12 a **TORPOL**

ZAKUPI
każdą ilość
SŁOMY ŻYTNIEJ, PSZENNEJ
i z PSZENŻYTA.
Dokładniejsze informacje pod tel.:
78-43-16 Poddebice
55-74-17 Łódź.

457 K

**Kalkulatory
firmy Casio**
z wyświetlaczem
i drukarką

Zasilanie sieciowe i bateryjne.
Nowoczesne i niezawodne.

— 10-, 12-, 14- i 16-cyfrowe niezastąpione w
działach finansowo-księgowych
— **KALKULATORY INŻYNIERSKIE**
Udzielamy 12-miesięcznej gwarancji, zapewniamy serwis
pogwarancyjny.
Krótkie terminy do odbiorcy. Płatność przelew, inkaso,
czek.
Nasz adres:
Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe, Sp. z o.o.
ul. Słowackiego 189, 26-600 Radom
tel. 524-65; 527-80
teleks. 097645

460 K

„POLOTEX” Spółka z o.o.
zapraszamy do sklepu firmowego

„JANINA”

Łódź, ul. Próchnika 3

Oferujemy:

- ODZIEŻ DAMSKĄ I MĘSKĄ renomowanych firm zagranicznych i krajowych,
- KRÓTKIE SERIE NADWYŻEK EKSPORTOWYCH,
- KOMBINEZONY, KURTKI I DRESY,
- KREACJE DLA PAŃ I wiele innych atrakcyjnych towarów!

Prowadzimy także
KUPNO I SPRZEDAŻ
TOWARÓW POCHODZENIA ZAGRANICZNEGO.

BIURO USŁUG CONSULTINGOWYCH

consult sp. z o.o.

ZAWIADAMIA
O ZMIANIE SIEDZIBY ODDZIAŁU
w Łodzi.

NOWY ADRES: Łódź, ul. 22 Lipca 80, tel.
32-60-18.

915/K

**SPOŁDZIELNIA
RZEMIEŚLNICZA „WYTWORCZOŚĆ RÓŻNA”**

w Łodzi, ul. Jaracza 3, tel. 32-27-39
S W I A D C Z Y U S Ł U G I

w zakresie:

- ▲ instalacji oraz konserwacji domofonów, interfonów,
- ▲ urządzeń sygnalizacji włamania
- ▲ napraw wózków akumulatoryjnych
- ▲ naprawy, renowacji i napełniania gaśnic
- ▲ zabezpieczenia p. pożarowego
- ▲ organizacji przedsiębiorstw w aspekcie upoważnień
- ▲ mikrokomputerów z doborem sprzętu i opr. c
- ▲ usług poligraficznych
- ▲ wykonywania etykiet samoprzylepnych
- ▲ wykonywania opakowań z tektury i papieru
- ▲ introligatorstwa
- ▲ renowacji manekinów
- ▲ metalizacji elementów
- ▲ regeneracji odpadów tworzyw sztucznych

- ▲ wykonywania elementów i opakowań z tworzyw sztucznych
- ▲ drukowania na tkaninach i folii
- ▲ konfekcjonowania środków chemicznych
- ▲ mycia i sprzątania wnętrz
- ▲ karczowania drzew, krzewów
- ▲ ośmiadania drzew, krzewów i żywopłotów
- ▲ renowacji stawów, basenów, koryt rzek, p
- ▲ kanałów
- ▲ wykonywania ogrodzeń (z siatki elementów)
- ▲ odśnieżania ulic i placów
- ▲ budowy i naprawy chodników i jezdnii
- ▲ robót ziemnych zmechanizowanych sprzętem c
- ▲ innych prac związanych z małą architekturą

Wzrostliśmy szybko, terminowo i dokładnie wykonujemy usług
Zobacz ogłoszenie w „Gazecie Poznańskiej” nr „Targi „Wiosna 89” hala nr 2, stoisko 215 oraz na Łodzi na „Gazecie Złoty
ska — Rata Sportowa w dniach 1-4 marca 1989 r.

459 K

Przedsiębiorstwo Turystyczne
Spółki **„INTERTOUR”**

O R G A N I Z U J E:
w ciągu całego roku
* **W CZASY** *
w atrakcyjnych miejscowościach:
* Krynicy Zdrój
* Rabce Zdrój (zabiegi w Zakładzie Przyrodolecznym
„UZDROWISKO RABKA”)
* Busku Zdrój
* Jagniątkowie k. Jeleniej Góry.

Informacja i zapisy: PT „INTERTOUR”, Łódź, ul. Piotrkowska 73/75,
tel. 32-91-57 i 32-65-38.

164 K

Przedsiębiorstwo Usługowo-Handlowe

„DORADO” sp. z o.o.

POLECA USŁUGI
w zakresie:

- * prac czystościowych
- * projektowania wnętrz biurowych i wnętrz sklepowych
- * transportu samochodami marki „Żuk” na trasie Łódź — Warszawa i Warszawa — Łódź (opłata tylko za przejazd z ładunkiem)
- * organizowania wszelkiego rodzaju imprez, bankietów oraz ich obsługi
- * opieki nad dziećmi
- * korepetycji
- * projektowania i wykonywania niepowtarzalnych kreacji na każdą okazję, wg wzorów znakomitych projektantów, zgodnie z najnowszymi tendencjami mody światowej.

Proponujemy konkurencyjne ceny, gwarantujemy terminowe, sprawne i wysokiej jakości wykonywanie zleceń. Zgłoszenia przyjmujemy w godz. 9-18.
91-713 Łódź, ul. Libelta 4 tel. 57-75-01 458 K

30-lecie FIRMY **tel. 57-55-55** **30-lecie FIRMY**

Prywatne Pogotowie Lekarzy Specjalistów • Wizyty domowe w zakresie:

PEDIATRII ogólnej oraz: laryngologii, chirurgii, neurologii, kardiologii, okulistyki, dermatologii i ortopedii dziecięcej.
INTERNY oraz: kardiologii, hematologii, pulmonologii, endokrynologii, gastrologii, chirurgii miękkiej i ortopedii, urologii, neurologii i psychiatrii, dermatologii, reumatologii, okulistyki, ginekologii, EKG u pacjenta.
Zlecenia przyjmujemy w dni powszednie 8-22, w dni wolne od pracy 9-22. Honoraria stałe bez względu na dzień tygodnia i porę dnia. 2294/g

GABINET RTG **tel. 57-55-55** **GABINET ULTRASONOGRAFII**
Łódź ul. Nawrot 2a tel. 33 26 79

